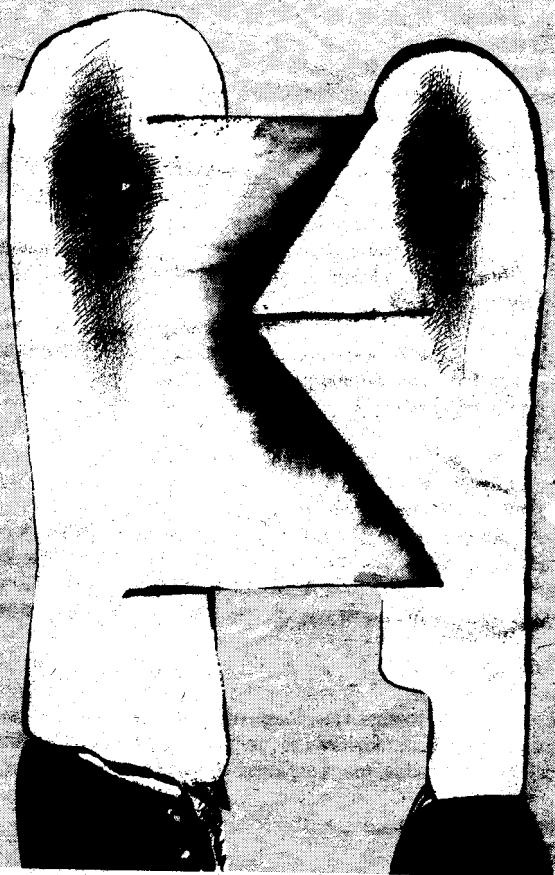


F A Z I L I S K A N D E R

Rozmyślający
o Rosji
i Amerykanin



H

all solidnego moskiewskiego hotelu. Na pierwszym planie siedzą w fotelach i rozmawiają Rozmyślający o Rosji i Amerykanin. Na drugim planie tyłem do nas siedzi nie znany nam człowiek i opowiada o czymś żonie Amerykanina. Najwidoczniej opowiadanie robi silne wrażenie i na nim samym, i na Amerykance. Czasem narratorowi trzęsą się ramiona, Amerykanka podnosi do oczu chusteczkę, a czasami podchodzi do baru i przynosi opowiadającemu kielich uspokajającego mocnego napoju. Na zakończenie sceny narrator daje Amerykance jakiś obraz, otrzymuje zań pieniądze i opuszcza hotel. W hallu kręcą się różni ludzie. Niektórzy popijają

w barze, rozmawiają przez telefony komórkowe z bliskimi znajomymi i dalekimi partnerami od interesów. Wyraźnie słyszymy jedynie rozmowę Amerykanina z Rozmyślającym o Rosji.

– Co robią ludzie w Rosji?

– Rozmyślają o Rosji.

– Pytam: CO robią w Rosji?

– Odpowiadam: rozmyślają o Rosji.

– Nie zrozumiał mnie pan. Pytam: co ROBIĄ w Rosji! Czym się zajmują? Jakiego zajęcia, konkretne zajęcie tu jest?

– W Rosji rozmyśla się o Rosji. To najważniejsze zajęcie Rosji.

– No dobrze! Choć rozmyślanie o Rosji to najważniejsze zajęcie Rosjan, może pomimo wszystko mają oni jeszcze jakieś inne, mniej ważne sprawy? Czy w Rosji są jakieś ludzie oprócz tych, którzy rozmyślają o Rosji?

– Ach, więc chodzi panu o tych pozostałych? Trzeba było tak od razu powiedzieć. W Rosji bardzo wielu rozmyśla o Rosji, a pozostali kradną.

– Wszyscy pozostali?

– Tak, wszyscy pozostali.

– To być nie może! Żeby wszyscy oprócz Rozmyślających o Rosji kradli!

– Jak to nie może być? Tak właśnie jest. W Rosji każdy to wie.

– I nikt z tym nie walczy?

– Nikt.

– Dlaczego?

– Bo nie ma kto walczyć.

– Jak to nie ma kto? Przecież to szaleństwo!

– Ci, którzy w Rosji rozmyślają o Rosji, nie mają czasu na walkę. A ci, którzy kradną, nie mogą przecież walczyć sami ze sobą. Ale to nie znaczy, że w Rosji tak strasznie dużo kradną. Rzecz w tym, że w Rosji bardzo wielu rozmyśla o Rosji.

– Więc jakich ludzi w Rosji jest więcej, tych, którzy rozmyślają o Rosji, czy tych, którzy okradają Rosję?

– Tego się nie da obliczyć.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ci, którzy rozmyślają o Rosji, niczym innym nie mogą się zajmować. A ci, którzy kradną, są zajęci kradzieżą i nie mają czasu liczyć tych, którzy kradną.

– Ale przecież ci, co kradną, mogą się zająć liczeniem w czasie wolnym od kradzieży.

– Nie mają wolnego czasu.

– Dlaczego?

– Dlatego, że ci, którzy kradną, w przerwach między kradzieżami także rozmyślają o Rosji. Jak z tego wynika, oni też nie mają czasu.

– To znaczy, że ci, którzy kradną, w czasie wolnym od kradzieży przyłączają się do tych, którzy rozmyślają o Rosji?

– Oczywiście!

– Ale po co?!

– Po pierwsze, kiedy złodzieje przyłączają się do tych, którzy rozmyślają o Rosji, nie można ich odróżnić od tych, którzy rozmyślają o Rosji. I to jest im na rękę. A po drugie, myślenie o Rosji jest dla nich bardzo pasjonujące. Dla nich myślenie o Rosji to prawdziwy odlot. Im więcej rozmyślają o Rosji, tym bardziej upewniają się, że koniecznie trzeba kraść. To podnosi na duchu!

– W takim razie, ci, którzy rozmyślają o Rosji, w chwilach przerwy w rozmyślaniu o Rosji mogliby policzyć, ilu ludzi rozmyśla o Rosji, a ilu Rosję okrada. Niezbędna jest jakaś równowaga. Inaczej kraj zginie.

– Oni też nie mają kiedy. Ci, którzy rozmyślają o Rosji, kiedy odpoczywają od rosyjskich rozmyślań, też podkradają.

– Jak to, więc oni także kradną?!

– Nie, kiedy rozmyślają o Rosji, nie kradną! Boże uchowaj! Ale w wolnych chwilach podkradają. Trzeba z czegoś żyć! Do tego podkradając, mieszają się z tymi, którzy kradną, i stają się niezauważalni. W Rosji rozmyślać o Rosji zawsze było znacznie niebezpieczniej niż kraść. Odwieczna tradycja. No więc w ten sposób maskują się. Ale przede wszystkim rozmyślają o Rosji.

– Wychodzi na to, że w Rosji wszyscy rozmyślają o Rosji?

– Od tego przecież zacząłem.

– Ale wychodzi także i na to, że w Rosji wszyscy kradną. W tym również ci, którzy rozmyślają o Rosji?

– A jakie mają inne wyjście? Przecież państwo nie utrzymuje tych, którzy rozmyślają o Rosji, a jakoś żyć muszą. Mają żony i dzieci, które od dzieciństwa zaczynają rozmyślać o Rosji albo kraść. W tym ostatnim przypadku ojcowie jeszcze głębiej zamyślają się nad losami Rosji.

– A gdyby państwo utrzymywało tych, którzy rozmyślają o Rosji, to oni zapewne przestaliby podkradać?

– Nic by z tego nie wyszło. Ci, którzy kradną, natychmiast by się zorientowali, że rozmyślać o Rosji jest wygodniej, niż kraść, i przestawiliby się na rozmyślanie o Rosji.

– W takim razie powinna pilnować tego jakaś komisja, żeby wszystko było uczciwie!

– Nie da rady. Stanowiska rozdają ci, którzy kradną. Natychmiast swoich – tych, którzy kradną – mianują Rozmyślającymi o Rosji i biorą na państwowy garnuszek.

– Dobrze. Zajmijmy się szczegółami. O ile dobrze zrozumiałem, to w Rosji ci, co są na dole, podkradają. A ci na górze – nadkradają.

Czy tak?

– Kompletna bzdura. Od razu widać, że jest pan cudzoziemcem niezdolnym do wycucia najsuklejszych intonacji naszego języka i naszej psychiki. „Podkradać” – to po ludzku, skromnie, ma nawet odcień szacunku dla tego, któremu się coś podkrada. A pańskim zdaniem „podkradać” znaczy pewnie brutalnie wyszarpywać to, co leży gdzieś nisko.



– A nie znaczy?
– Podkraść to znaczy kraść licząc się z sumieniem. Dlatego kradną i płaczą, kradną i płaczą.

– Jednocześnie?!

– O to chodzi, że jednocześnie!

– A więc ci na górze nie nadkradają? Co wobec tego robią?

– Oczywiście, że nie! „Nadkradają” brzmi wyniośle. „Nadkradają” to znaczy, że gardzą tymi, którzy zaledwie podkradają. My im na to nie pozwolimy. Jesteśmy dumni i łatwo nas urazić. „Nakradać”! Takiego słowa nawet nie ma w naszym języku. Dumny język! Ci na górze zwyczajnie kradną!

– Jaka jest różnica między tymi, którzy kradną na górze, a tymi, którzy kradną na dole?

– Ogromna. Na górze kradną surowo. A na dole łagodnie podkradają. Kradną i płaczą.

– Jenocześnie?!

– Jednocześnie. Więcej, nasz naród ma taki nadmiar sumienia, że czasem zaczyna płakać, zanim jeszcze zacznie kraść. I od razu widać, że nieszczęśnik idzie podkraść. Żal mu człowieka, którego okradnie. Bywa, że spotka na ulicy znajomego, popłaczą jeden drugiemu na piersi i rozchodzą się – każdy idzie podkraść w swoją stronę.

Tylko w Rosji człowiek lituje się nad człowiekiem, którego okrada. Kocha go jak brata. Przecież dobrze wie, że to, co ukradł bliźniemu, w swoim czasie bliźni ukradł komuś innemu. I z miejsca zaczyna żałować wszystkich trzech. Jakże tu nie zapłakać!

Iluż to w Rosji współczujących! Jakież zespolenie w żałości! A ponieważ w ostatecznym rachunku każdy podkrada Rosji, łącznie z tymi, którzy kradną na górze – wszystkim jest Rosji żal. Żaden naród nie użala się nad swoim państwem tak jak my!

U nas nawet milicjantowi, który widzi płaczącego człowieka i rozumie, że ten człowiek właśnie idzie podkraść, żal i jego, i tego, którego tamten zamierza okraść. I z żalu sam zaczyna płakać tak, że czasami trudno pojąć, czy milicjant płacze z powodu własnych złodziejskich kombinacji, czy też z litości nad tym, który właśnie idzie coś komuś podkraść.

– Moim zdaniem robi mi pan wodę z mózgu! Jakoś nie spotkałem ani płaczących milicjantów, ani szlochających złodziei, chociaż jestem w Moskwie już miesiąc! Widziałem w metrze proszących o pieniądze, czasem faktycznie pochlipywali, zresztą fałszywie. A tego, o czym pan mówi, nie widziałem.

– I nigdy pan nie zobaczy, bo jest pan cudzoziemcem. Dlatego że – jak powiedział nasz wielki klasyk – my przeważnie płacemy łzami niewidzialnymi dla świata.

– Dobrze. Nie to jest najważniejsze. Ale z pana słów wynika, że w Rosji kradną i ci, którzy kradną, i ci, którzy rozmyślają o Rosji. Nie widzę między nimi różnicy. A pan widzi?

– No tak, cudzoziemiec nigdy nas nie zrozumie! Różnica jest ogromna, zasadnicza! I będziemy przy niej trwać! Ci, którzy rozmyślają o Rosji, podkradają w czasie wolnym od rosyjskich rozmyślań. A tego wolnego czasu mają tak niewiele! A ci, którzy kradną, rozmyślają o Rosji w czasie wolnym od kradzieży. I tego czasu także mają niewiele. Różnica, jak widać, kolosalna! Bo ważne jest, jak człowiek spędza swój czas pracy, a nie czas wolny.



– Zdumiewająca historia! U nas na Zachodzie przywykliśmy, że po pracy jesteśmy zmęczeni i odpoczywamy przy towarzyskiej rozmowie. A tu w Rosji jestem stale zmęczony rozmowami! Powiem szczerze, zmęczył mnie pan.

– To naturalne. Jest pan nie przyzwyczajony. Tam, u was – byt. Tu, u nas – metafizyka. Nauczycie się robić nie myśląc. A my nauczyliśmy się myśleć nic nie robiąc.

– No dobrze. Jaka jest najbardziej charakterystyczna cecha Rozmyślających o Rosji?

– Najbardziej charakterystyczna cecha Rozmyślających o Rosji to pryncypialna odmowa zajmowania się sprawami praktycznymi przy cieszącym się powszechnym poparciem udzielaniu praktycznych porad rządowi. Rząd i tak nas nie słucha, ale my i tak udzielamy mu rad.

Sądzę według siebie. Kiedy żona przychodzi do mnie z młotkiem i gwoździem i mówi: „Wbij ten gwoźdź w ścianę!” – wpadam w cichą furię. Gotów jestem wbić jej ten gwoźdź w głowę. W Rosji wbito już tyle gwoździ! My, Rozmyślający o Rosji, można powiedzieć, zębami wrywamy te zardzewiałe gwoździe, a ona proponuje mi, żebym wbił jeszcze jeden gwoźdź!

Niedawno byliśmy z żoną w domku letniskowym. Dostaliśmy go w spadku po jej rodzicach. Wyszliśmy na spacer. No a ja, rzecz jasna, nawet spacerując, rozmyślam o Rosji. I taki dosyć solidny soplel zwiisał z dachu nad naszą ścieżką. No więc wisi. Niech sobie wisi i grzeje się w słońcu. Komu ten soplel przeszkadza? A żona mówi do mnie: „Trzeba poprosić sąsiadów o drabinę. Wejź na nią i strąć ten soplel, bo inaczej spadnie nam na głowę”. „To jest absolutnie wykluczone” – odpowiadam. „Dlaczego wykluczone? – uparcie nalega żona. – Możesz przecież strącać soplel i rozmyślać o Rosji”.

Strącaj soplel i rozmyślaj o Rosji! Cóż za cynizm!

„Soplel w żadnym wypadku nie może nam spaść na głowę – odpowiadam jej – wysłuchaj moich dowodów, chociaż odrywasz moje myśli od rozmyślań o Rosji. Doba ma dwadzieścia cztery godziny. Jedna godzina zawiera sześćdziesiąt minut. Minuta sześćdziesiąt sekund. Pomnóż to sobie i wyjdzie astronomiczna liczba sekund. Nawet jeśli trzy razy dziennie przejdziemy pod tym soplem, potrwa to sześć-siedem sekund, o ile nie będziesz stać pod soplem z otwartymi ustami. Praktycznie – zerowe prawdopodobieństwo upadku soplel na głowę. Ale nawet i w takiej sytuacji soplel trafi w głowę jedno z nas. To znaczy, że i tak zerowa szansa maleje jeszcze dwukrotnie. Poza tym, zgodnie z przyjętym wśród Rozmyślających o Rosji obyczajem, przechodząc pod soplem, kobietę należy przepuścić przodem, żeby przyjąć uderzenie na siebie”.

Moje potężne argumenty tak podziały na żonę, że zamilkła. Kiedy szliśmy z powrotem, no coś takiego, soplel runął z dachu i upadł pięć kroków przed nami. Nie zdążyłem jeszcze przepuścić żony przodem. „No widzisz!” – mówi żona ze złośliwą satysfakcją.

„Co widzisz? – odpowiadam jej. – Soplel nie mógł nam spaść na głowę i nie spadł”.

„Ale przecież przystanąłeś, żeby przypalić papierosa zapalniczką – jadowicie przypomina żona. – Gdyby nie tych kilka sekund, soplel spadłby nam na głowę!” „Jak widzisz – mówię – twoja próba zmuszenia mnie, żebym rzucił palenie, kosztowałaby cię utratę głowy. Jako Rozmyślający o Rosji przewidziałem to”.

Żeby pan lepiej zrozumiał rosyjski charakter narodowy, opowiem panu wesołą historię. Usłyszałem ją od pewnej profesor okulistki.

Wiele lat temu pracowała razem ze słynnym oftalmologiem, profesorem Awerbachem. Pewnego razu przyprowadzają mu ślepcę, żeby profesor wydał zaświadczenie

potrzebne do otrzymania renty z powodu stuprocentowej ślepoty. Profesor Awerbach wyjątkowo długo badał jego wzrok za pomocą najróżniejszych lampek. I jego koleżankę bardzo zdziwiła szczególnie skrupulatność wobec tego akurat pacjenta. Kiedy na kilka minut oboje znaleźli się w sąsiednim pomieszczeniu, zapytała profesora Awerbacha: „Czemu tak długo bada pan jego oczy?”. „Wie pani – westchnął profesor – mam nieodparte wrażenie, że ten człowiek widzi, ale w żaden sposób nie mogę tego udowodnić”.

„Skoro pan nie może – odpowiada ta kobieta – to niech pan pisze zaświadczenie o ślepcie”.

I profesor Awerbach, chociaż z niejakimi wątpliwościami, napisał takie zaświadczenie. Wsunęli ślepcowi zaświadczenie do ręki i rodzina go zabrała. I tu nastąpił genialny zbieg okoliczności. Trzy dni później profesor Awerbach idzie do instytutu i nagle widzi, że z przeciwka maszeruje jego pacjent, bez żadnej laski i bez niczyjej opieki. Profesor Awerbach zatrzymał się pięć kroków przed nim i stoi jak wmurowany. A ślepiec patrzy na niego z przyjaznym uśmiechem i mówi: „Dzień dobry, panie profesorze!”. „Ale przecież pan nie powinien mnie zobaczyć!” – zaryczał profesor. – „A kto powiedział, że ja pana widzę – nie speszył się pacjent – ja pana słyszę. Przecież nie jestem głuchy, tylko ślepy”. „Ale to pan pierwszy powiedział dzień dobry!” – krzyknął profesor. „Ale to pan zatrzymał się na mój widok – mówił dalej ślepy jak gdyby nigdy nic – a my, niewidomi, mamy nadzwyczaj czuły słuch. Poczulem, że ktoś przede mną stanął. I pomyślałem, któż zatrzymałby się przed nieszczęsnym ślepcem, jeśli nie dobry profesor Awerbach, który wydał mi zaświadczenie o ślepcie”. „Ja chyba sam jestem ślepy!” – machnął ręką profesor Awerbach i każdy poszedł w swoją stronę.

Spróbujmy przeanalizować tę historię.

– Spróbujmy.

– Jak pan myśli, ten rzekomy ślepiec, kiedy witał się z profesorem Awerbachem, szedł z niego?

– No, nawet jeśli nie szedł, to kpił sobie. Inaczej wyminąłby go w milczeniu.

– Nic podobnego! Nie rozumie pan specyfiki duszy rosyjskiej, zdolnej wprowadzić do niebyszałej chytryści, ale ta chytryść jest zawsze jednorazowa. Nieustanna chytryść nudzi Rosjanina. Ileż subtelnej perfidii zużył ten ludowy majsterklepka, by oszukać profesora razem z całą jego aparaturą. I profesor, chociaż nie bez pewnego zakłopotania, wydał mu potrzebne zaświadczenie. I nagle ślepiec samozwaniec spotyka profesora na ulicy. Z jednej strony, widzi profesora i czuje do niego wdzięczność. Z drugiej strony, traci czujność i zapomina, że nie może widzieć profesora i witać go. Ale wita się z profesorem. Wdzięczność zwyciężyła czujność. Kiedy zaś profesor, do pewnego stopnia oburzony, spróbował go zdemaskować, znowu włączyła się chytryść i ślepiec faktycznie zwyciężył profesora.

Nawiasem mówiąc, wszystko to działo się nieopodal instytutu, w którym pracował profesor. Prawdopodobnie ten cwany pacjent mieszkał gdzieś w pobliżu. Prawdopodobnie podjął swoją paradoksalną decyzję, bo miał okazję obserwować niedowidzących wędrujących do instytutu i ślepych, których tam prowadzono.

Ale wracajmy do naszego tematu. Jak pan sądzi, ten rzekomy ślepiec, który otrzymuje rentę z powodu swojej ślepoty od autentycznie ślepego państwa, podkrada państwu, czy też je okrada?

– Okrada, z pewnością okrada!

– Kolejny błąd! Właśnie podkrada. Bo państwo okradało go przez całe życie. A teraz, żeby choć trochę zrekompensować to złodziejstwo, był zmuszony udawać ślepego.

– To zdumiewające, ilu macie w Rosji takich mądrych ludzi! A dlaczego w żaden sposób nie mogą trafić do rządu?

– Bo Rosji potrzebni są ludzie rozmyślający o Rosji.

– A czy będąc w rządzie nie można rozmyślać o Rosji?

– Oni tam nie mają na to czasu. Tym bardziej że wiedzą: po co rozmyślać o Rosji, skoro cała Rosja i tak rozmyśla o Rosji. Ale mówiąc poważnie – oto co się dzieje: Rozum to okropne obciążenie dla wdrapującego się na szczyty władzy. Ten, kto nie czując strachu, szybciej odrzuca ten ciężar, szybciej wspina się na górę, szybko głupiejac w marszu.

– Wszystko to pięknie. Ale jak u was rozwija się biznes? Bo jakoś w żaden sposób nie potrafię tego zrozumieć.

– U mnie osobiście?

– Choćby u pana.

– Tego nie mogę panu teraz powiedzieć.

– Dlaczego?

– Dlatego że takie są zasady tej gry. O swoim biznesie opowiem pod koniec naszej rozmowy. Teraz lepiej opowiem panu o biznesie mojego siostrzeńca. Wszystko wprost z życia. Mój siostrzeniec pracuje w jednej moskiewskiej firmie. Niedawno mnie odwiedził. Siadamy do kolacji. „Jak interesy firmy?” – pytam. „Jeszcze jakoś utrzymujemy się na powierzchni”. „To znaczy?” – pytam. „Nikt nie ma pieniędzy. Kupiliśmy zboże i zamówiliśmy mieszankę paszową, płacąc zakładom częścią ziarna. Sprzedaliśmy paszę wielkiej hodowli świń. Świnie w odróżnieniu od ludzi nie mogą głodować. Ale tam też nie mieli pieniędzy i zapłacili nam cukrem, którym z kolei państwo zapłaciło im za wieprzowinę. Ale ceny cukru właśnie spadły. Nie opłacało się go sprzedawać. Co robić? Kupiliśmy podkłady kolejowe od naczelnika łągru, w którym więźniowie pracowali przy wyrębie lasu. Sprzedaliśmy podkłady firmie kolejowej, która też nie miała pieniędzy i rozliczyła się z nami zezwoleniem na bezpłatny przewóz towarów po kraju. Kupiliśmy ryż w jednej firmie zagranicznej i zapłaciliśmy jej prawem bezpłatnego przewozu jej własnego ryżu. Swój ryż sprzedaliśmy ludności i trochę zarobiliśmy”.

Oczywiście, na pierwszy rzut oka, to jakaś pierwotna wymiana towaru na towar. Ale niech mi pan szczerze powie, czy wasi biznesmeni byłiby zdolni do takiej oszałamiającej kombinacji?

– Jestem pewien, że nie! Co za naród! Im więcej o was myślę, tym bardziej jesteście zagadkowi! Można oszaleć! I to jest kraj, który pierwszy wleciał w kosmos!

– Dobrze pamiętam dzień po brzegi wypełniony entuzjazmem, kiedy Gagarin wleciał w kosmos i zrobił koło nad kulą ziemską! Tego właśnie dnia i niewykluczone, że z tego właśnie powodu pewien pijany obywatel leżał na trotuarze. Spał i przez sen zlał się pod siebie. Sądząc po obfitości moczu, najpierw długo pił piwo, a potem gwałtownie skręcił na wódkę i wpadł w ostry korkociąg. Skomplikowane pęknięcia starego trotuaru spowodowały, że strumień moczu zatoczył krąg dookoła leżącego pijaka.

Poczułem wtedy, że koło, które zakreślił Gagarin wokół kuli ziemskiej, i krąg dookoła pijaka mają jakiś symboliczny sens. Ale jaki? Prawdopodobnie taki: nie kosmosem trzeba było się zajmować, ale tym oto pijakiem śpiącym w pętli swojego moczu.



Jednakże ani pański pokorny sługa nie podniósł pijanego z ziemi, ani nikt inny. I jeśli się zastanowić, to być może z tej właśnie przyczyny stało się z nami to, co się stało. Ale też z tej samej przyczyny Gagarin pierwszy wyleciał w kosmos.

– Jak widzę, filozof z pana.

– Wszyscy Rozmyślający o Rosji to filozofowie. A oto epizod z życia jednego autentycznego filozofa. Wyjaśnia on niejako naszą kosmiczność.

Kiedyś nasz filozof był żonaty. Ale żona zesłała się z jednym jego uczniem. Dowiedziawszy się o tym filozof zawołał gniewnie: „Tfu, paskuda! Jakiegoż rozmówcę przez nią utraciłem!”

Żona wstrząśnięta tak wysoką oceną wystawioną przez filozofa uczniowi, odeszła do tego ucznia na zawsze. Od tego czasu filozof pozostał sam, radując się potajemnie – zniknął wprawdzie znakomity rozmówca, ale jednocześnie wyzwolił filozofa od kiepskiej rozmówczyni. Rachunek zysków i strat – na korzyść filozofa.

Tak więc żył sobie samotnie. Ale raz zachorował. I pewna znajoma samotna kobieta zadzwoniła do niego. Kiedy się dowiedziała, że jest chory, zaproponowała swoją pomoc, przyjedzie, ugotuje mu coś, pójdzie po lekarstwa, zrobi przepierkę. Filozof pomyślał, pomyślał i odmówił. „Dlaczego?” – zdziwiła się kobieta. „Widzisz – odrzekł filozof – jeśli przyjedziesz i będziesz się mną opiekować, to oznacza, że jeśli ty zachorujesz, ja też powinienem przyjechać i opiekować się tobą. A to oderwie mnie od moich myśli. Choroba mi nie strasza. Cierpienie tylko wyostreza moją myśl”. „A współczucie?” – zapytała samotna kobieta. „Kiedy współczuję ludzkości, to także wyostreza moje myśli – przyznał filozof i ucciwie dodał – a współczuć konkretnemu człowiekowi jeszcze nie próbowałem”.

Jesteśmy zbyt kosmiczni. Stąd nasze nieszczęścia. Uprawianie własnej winnicy to nie nasza filozofia. Za to wyhodowanie winorośli w tundrze – to nas może zainteresować.

W tym momencie bezszelestnym krokiem podchodzi do nich jakiś człowiek. Pochyliła się.

– Chłopaki, macie ochotę na dziewczynki? Akurat są dwie. Ze szkoły baletowej. Cukiereczki!

– Gdzie są?

– W moim samochodzie.

– Blondynki czy brunetki?

– Jedna blondynka. A druga brunetka. Możecie od razu wybrać!

– A ile to będzie kosztowało?

– Po dwieście dolarów od głowy.

– Trochę drogie te pańskie dziewczynki.

– Za to dwudziestoletnie.

– Jakby za stare do szkoły baletowej.

– Już dawno skończyły szkołę baletową. A że drogo... Płać portierowi, recepcjoniście płąć, dziewczynkom płąć, a i ja chcę coś zarobić. Pokój w hotelu gratis.

– Ale jak my, solidni ludzie, w jednym pokoju z dwiema dziewczynami? On będzie figlować z nią w łóżku, a ja co, mam się przyglądać?

– Po co się przyglądać? Niech pan sam figluje. Pokój jest dwuosobowy.

– Ja tak nie mogę. Co to ma być: do biegu! gotowi! start! – kto przędzie?



- Drugi pokój na dwie godziny będzie kosztować jeszcze pięćdziesiąt dolarów. Jak możecie, to dopłaćcie.
- Po co mi dwie godziny? Co to, żółw jestem czy co! Godzina zupełnie wystarczy.
- Ale za mniej niż pięćdziesiąt dolarów pokoju nie wynajmą. A może pan tam być nawet i dziesięć minut.
- Nie, o tym nie ma mowy. Więc jak mamy sobie poradzić w jednym pokoju?
- Jak już pan taki wstydlivy, to niech pan idzie ze swoją dziewczynką do łazienki, póki on ze swoją się nie nafięguje. A potem oni pójdą do łazienki, a wy sobie figlujcie.
- A co my będziemy robić, póki oni nie skończą figlować?
- Czekać. Albo, wie pan, niektórzy lubią pod prysznicem. Rzecz gustu.
- No nie, jeszcze nie jestem delfinem!
- To w takim razie niech pan czeka, aż się nafięgują.
- I co, potem ona całkiem goła przejdzie obok mnie do łazienki? To nieprzyzwoite.
- Pierwszy raz widzę takiego kapryśnego klienta! Aha, niech pan pamięta, że dziewczynkę można niczym nie częstować. To zależy tylko od was.
- Jak to nie częstować? Mogą się przecież obrazić?
- Nie, nie są obraźliwe, to wesole dziewczynki. Tylko po łóżku koniecznie prysznic i potem wychodzą. Schłudne dziewczynki.
- Naprawdę schłudne?
- Bardzo. Możecie nie częstować, ale prysznic po łóżku – obowiązkowo.
- A przed łóżkiem?
- Każecie im – wezmą prysznic i przed łóżkiem.
- Nie, nie, ja nie mogę. Kocham swoją żonę i jestem jej wierny.
- My nie tylko kochamy swoje żony i jesteśmy im wierni! Ja jeszcze do tego jestem wierny jego żonie! A on jest wierny mojej żonie!
- Jakże to tak? Nic nie rozumiem.
- Myśleć trzeba, myśleć. Nie myśleć – grzech.
- Ale jeśli jest pan wierny swojej żonie, jak może pan być wierny żonie przyjaciela? Aha! To jest taka rodzinna komuna? Coś już o czymś takim słyszałem. Tym bardziej jesteście już przyzwyczajeni figlować jeden na oczach drugiego!
- Nie ma mowy o komunie. Każdy żyje z własną żoną, ale przy tym wierny jest żonie przyjaciela.
- Chwileczkę! Chwileczkę! Tak nie może być! Jeśli jest wierny żonie przyjaciela, to znaczy, że z nią żyje. Jak przy tym może być wierny swojej żonie?
- Każdy z nas jest wierny żonie przyjaciela, dlatego że jej nie zna. Ja nie znam jego żony, a on nie zna mojej. Dlatego jesteśmy im wierni.
- Tfu, do diabła, zamęcili mi w głowie! Chciałem zaoferować dziewczęta solidnym ludziom! Pójdę do baru, tam ludzie są poważniejsi.
- I młody człowiek odchodzi.
- Myślę, że tu szybko znajdzie klientów.
- Na to wygląda... Aha, kiedy była mowa o tundrze, przypomniałem sobie, o co chciałem zapytać. O moskiewskim biznesmenie już mi pan opowiedział. Ale jak wygląda sytuacja małego biznesu w głębi Rosji?
- Akurat niedawno przez pół roku obserwowałem mały biznes w Krasnodarze. To też rosyjska prowincja.
- Siedzimy na lotnisku w poczekalni wychodzącej na płytę. Ludzie czekają na komunikat, że można już wsiadać do samolotu. Koło popielniczki ustawionej przy wyjściu na płytę kilku pasażerów stoi i pali. Komunikat o starcie kolejnego samolotu, podjeź-

dża autobus. Palacze zaciągają się po raz ostatni, żeby wyjść i wsiąść do autobusu. Wtedy, nie wiadomo skąd, pojawia się milicjant i podchodzi do nich. „Tu nie wolno palić. Proszę zapłacić karę”. „A po co popielniczka? Gdzie napis, że palenie wzbronione?” – protestują palacze. „O niczym nie wiem. Płacić!”

Drzwi na płytę lotniska otwarte, ludzie idą do autobusu. Palacze najwyraźniej też czekali na ten właśnie samolot. Denerwują się, pośpiesznie wyciągają pieniądze i dają milicjantowi. Po dwadzieścia tysięcy. „Zaraz wam wypiszę pokwitowania” – mówi milicjant z olimpijskim spokojem. „Na miłość boską, nie trzeba pokwitowań! – błagają przerażeni palacze. „Jak tam sobie chcecie” – milicjant łaskawie bierze od nich pieniądze. Palacze chwytają swoje bagaże i biegną do autobusu.

Znowu zapada cisza. Milicjant gdzieś znika. Ci, którzy spieszą się na następny rejs, znowu tłoczą się przy wyjściu. Najbardziej niecierpliwi zapalają papierosa. Komunikat o kolejnym locie, podejżdza autobus. Wtedy, znowu nie wiadomo skąd, zjawia się milicjant i podchodzi do palących. Scena powtarza się. „Zaraz wypiszę pokwitowania” – życzliwie zapowiada milicjant. A ludzie już biegną do autobusu. „Tylko bez pokwitowań” – błagają i wciskają mu pieniądze. Milicjant łaskawie bierze pieniądze. Palacze chwytają swoje bagaże i biegną do autobusu. Milicjant znowu znika.

Powtarzało się to cztery razy, do czasu, kiedy sami odlecieliśmy. Milicjant ma swój mały biznes, opierający się na znajomości ludzi spieszących się na samolot. Możliwe, że z kimś się dzieli. Z jednej strony popielniczka, gościnna popielniczka u samego wyjścia na płytę lotniska, a z drugiej strony – żadnego napisu, wolno czy nie wolno palić. Jak to mówią – wszędzie da się żyć!

– A nowi rosyjscy bogacze pomagają biednym?

– Słyszałem, że jeden milioner okazał miłosierdzie i podarował sierocińcowi tysiąc dolarów.

– Jak pan ocenia obecny stan Rosji?

– Oto moja diagnoza: galopujący rozkład przy bezobjawowym kapitalizmie.

– Ależ pańskie słowa należałoby zapisywać!

– My w Rosji nie lubimy, żeby nasze słowa zapisywano. Nasi Eckermannowie mają zwyczaj zanosić swoje notatki do KGB. Do tego wszystko tak przeinaczą w swoich notatkach, że ani KGB, ani wezwany autor nie mogą pojąć, o co chodzi. A w końcu nie wiadomo, dlaczego autora, a nie tego, co poplątał, wsadzano do psychiatryka.

– Widzę, że pomimo ciężkiej sytuacji wászego kraju, nie traci pan poczucia humoru.

– Żeby wyżyć w rozpaczliwej sytuacji, potrzebne jest rozpaczliwe poczucie humoru ogarniające cały kraj. Zawsze powtarzałem, jeśli nie masz czym rozpiłować swoich kajdan, pluj na nie, może przerdzewieją.

– Często zastanawiam się nad pewnym problemem i nie potrafię w żaden sposób go rozwiązać. Założmy, że człowiek niegodziwy postąpił niegodziwie. Staje przed sądem i idzie do więzienia. Ale przecież z filozoficznego punktu widzenia to absurd! Jeśli ten człowiek jest niegodziwy, bez sumienia, to popełniając niegodziwy czyn, nie wiedział, co czyni. Jak więc można go zamykać za to w więzieniu?

– Pański wywód wydaje się logiczny tylko na pierwszy rzut oka. „Bezrozumpcja” niewinności! Nie ma ludzi absolutnie niegodziwych, doszczętnie pozbawionych sumienia. Najbardziej niegodziwy człowiek nie jest aż tak niegodziwy, żeby w głębi duszy nie wiedział o swojej niegodziwości. Dlatego sąd nad nim jest sądem sprawiedliwym.

– Co dzisiaj dla Rosji jest cenniejsze – sumienie czy honor?

– Dla rozmyślającej Rosji – sumienie, a dla złodziejskiej – honor.

– Dlaczego?

– Honor jest ostatni w orszaku sumienia, ale staje się pierwszy, kiedy sumienie robi w tył zwrot. Honor to sumienie karciarza. Na przykład kryminalista zabił kryminalistę za to, że ten go na czymś tam oszukał, przywłaszczył sobie trochę pieniędzy. W rzeczywistości nie o pieniądze chodzi. Prawdziwa, najgłębsza przyczyna morderstwa to urażony honor.

Teraz w Rosji ludzie nieuczciwi bez przerwy procesują się ze sobą, walcząc o swój wątpliwy honor. I żadnemu sędziemu nie wystarcza determinacji, żeby wstać i powiedzieć: „Proces zostaje umorzony z powodu braku przedmiotu sporu”.

Chrystus wciąż mówi nam o sumieniu i nigdy o honorze. I oto, co mnie niepokoi. Założmy, że w Rosji, kiedy miną już czasy zamętu, powstanie i utrwali się państwo prawa. Wtedy będzie się stanowić i rozwijać prawa, zgodnie z którymi człowiek powinien żyć. Ale czy nieskończony rozwój praw nie doprowadzi do stopniowego uwiadu sumienia?

Człowiek żyje tym, co dla społeczeństwa najistotniejsze. Teraz w Rosji najistotniejsze dla społeczeństwa jest bezprawie. Ale oto prawo zwyciężyło i najistotniejsze w życiu staje się podporządkowanie prawu. Czy kiedy prawo ostatecznie zapanuje, stanie się najistotniejsze w życiu społeczeństwa, czy wtedy prawo nie wyruguje sumienia?

– Tak, w jakimś sensie ma pan rację. Wie pan, jakich ludzi u nas w Ameryce uważa się za najbardziej wyzutyżych z sumienia? Adwokatów, prawników. Jeśli im się wpadnie w łapy, to tak zrećnie będą manipulować prawem, że ograbią człowieka do ostatniego centa. Nie daj Boże wpaść im w łapy.

– To się rozumie samo przez się, ale ja mówię o szerszej sprawie. Kiedy prawo staje się w życiu najistotniejsze, sumienie usycha. A jakkolwiek silne i rozwinięte byłoby prawo, zawsze były, są i będą w życiu takie przypadki, kiedy człowiek musi postępować zgodnie z własnym sumieniem. Ale jak ma postępować zgodnie z sumieniem, skoro sumienie uschło? A uschło właśnie dlatego, że dobrze rozwinęło się prawo i człowiek przywykł, że tylko ono go ogranicza?

– Tak, to trudny problem. Widocznie trzeba, żeby i prawo, i sumienie rozwijały się równolegle. Ale ten dramat, o którym pan mówi, to sprawa dalekiej przyszłości. W Rosji, o ile dobrze rozumiem, potrzebne jest obecnie takie umocnienie demokratycznych praw, aby w ogóle mogły funkcjonować. To, o czym pan mówi, to sprawa dalekiej przyszłości. Uważa się, że kultura rozwija sumienie. Co pan sądzi o jej roli?

– Tak mi zimno na świecie, tak zimno! Mówię do kultury: „Ogrzej mnie, bo jak nie, to się upiję!”.

– A co odpowiada kultura?

– Odpowiada: „Ach, więc tak stawiasz sprawę? Będzie ciepło!”. A mówiąc serio, albo książka będzie ogrzewać człowieka, albo człowiek będzie się ogrzewać przy ognisku z książek. Trzeciej możliwości nie ma!

– W takim razie porozmawiajmy o literaturze. Wykładam literaturę rosyjską na uniwersytecie. Co pan sądzi, o literaturze rosyjskiej sowieckiego okresu?

– Moim zdaniem w całej sowieckiej literaturze są dwa nurty. Pierwszy – literatura ideologów, ich dzieci i wnuków. Drugi nurt – literatura ofiar ideologii, ich dzieci i wnuków. Drugi nurt całkowicie pokonał pierwszy. Ale zdrajcy byli z jednej i drugiej strony.



– Co pan myśli o Szołochowie i powieści „Cichy Don”? Przeczytałem całe stopy literatury na ten temat i ostatecznie przestałem cokolwiek rozumieć.

– Nie było Szołochowa, ale on mógłby być.

– Zagadkowa odpowiedź.

– Za to trudno się do niej przyczepić.

– Ale kto w końcu napisał „Cichy Don” – Szołochow czy ktoś zupełnie inny?

– To teraz najostrzejszy problem polityczny w Rosji. Na pańskie pytanie mogę odpowiedzieć tylko w obecności mojego adwokata.

– Daję słowo dżentelmena, że nigdy i nigdzie nie będę się na pana powoływać.

– Dobrze. Wierzę panu. Mam jeden dowód – psychologia autora. Tego akurat w żaden sposób nie da się podrobić. Czytając „Cichy Don”, czuje się, że w żadnym wypadku nie napisał tego młody człowiek. Pisał silny i bardzo zmęczony życiem mężczyzna co najmniej czterdziestoletni. Obrońcy autorstwa Szołochowa powinni dodać mu ze dwadzieścia lat, wtedy ich stanowisko byłoby bardziej przekonujące.

– Interesujący dowód. Ale jedyny, prawda?

– Tak.

– Taki jedyny dowód to według mnie trochę za mało.

– A czy pan wie, że bardzo dużo dowodów na prawdziwość tego czy innego wydarzenia może być dowodem jego niewiarygodności?

– Jak to?

– Dam przykład z życia. Dowiedziałem się o nim od znajomego oficera śledczego. Bardzo mądry człowiek. Zdarzyło się morderstwo. Nie było ani jednego świadka. Mój znajomy śledczy z jakichś sobie znanych powodów zaczął podejrzewać pewnego człowieka – nazwijmy go Iwanow – i aresztował go. Wtedy nagle zaczęły przychodzić listy, zbiorowe i indywidualne, że Iwanow jest uczciwym człowiekiem, niczemu nie jest winien. Chociaż w gazetach o morderstwie i o aresztowaniu Iwanowa nie było nic. Listy przychodziły nie tylko z Moskwy, ale i z innych miast. We wszystkich było napisane, że Iwanow w żadnym wypadku nie mógł zabić człowieka. I wtedy śledczy upewnił się ostatecznie, że to właśnie Iwanow jest mordercą. I Iwanow koniec końców przyznał się, że jest mordercą i należy do szajki, która próbowała go uratować swoimi listami. Śledczy zrozumiał, że uczciwego człowieka aż tylu ludzi bronić nie będzie. Jak pan widzi, obfitość dowodów na to, że jest uczciwym człowiekiem, doprowadziła do udo wodnienia, że Iwanow jest mordercą.

– Oryginalne, bardzo oryginalne. Opowiem o tej historii mojemu przyjacielowi, amerykańskiemu prawnikowi. Ale kontynuujmy rozmowę o literaturze. Rozumiem, że Puszkina jest wielkim poetą. Mogę nawet przyznać, że lepszym od Byrona. Ale czy kult Puszkina w Rosji nie jest dziwnie przesadny?

– Nie ma mowy o przesadzie, zapewniam pana! My wszyscy, jeśli jeszcze żyjemy, to dzięki Puszkiniowi. Od Puszkina emanuje tyle dobra, że każdy Rosjanin, który czytał i rozumiał Puszkina, może się przekonać: skoro Puszkina żył w Rosji, to znaczy, że Rosję czeka coś dobrego. Inaczej w żaden sposób nie dałoby się wytłumaczyć, dlaczego Puszkina pojawił się w Rosji. Bardzo się cieszę, że stawia pan wyżej Puszkina niż Byrona. Od dawna też tak uważam.

– W takim razie proszę wymienić najlepszy utwór Byrona.

– Jak sądzę – „Don Juan”.



– Zgadza się co do joty. Ale „Eugeniusz Oniegin” jest lepszy od „Don Juana”. Tak twierdzą jako Anglosas.

– To przynosi zaszczyt pańskiemu gustowi. W „Eugeniuszu Onieginie” nawet poetyki są czarujące.

– Czyżby tam były pomyłki? Sam nie zauważyłem i nigdy o tym nie czytałem.

– Są. Na przykład w pierwszym rozdziale Puszkina dwukrotnie pisze, że Oniegin układał urocze epigramy „Lub epigramem wroga tru! / I żartem z żółcią pół na pół”. Ale w tym samym rozdziale pisze o Onieginie, że „Nie umiał jambów od trochejów/ Odróżnić mimo dobrych rad”. To sprzeczność. Bardzo miła sprzeczność. Nawiasem mówiąc, „miły” – ulubione słowo Puszkina. Ale przecież techniczne zrozumienie tego, czym jedno poetyckie metrum różni się od drugiego, jest znacznie łatwiejsze od umiejętności pisania znakomitych epigramów. Więc o co chodzi? W pierwszym rozdziale Puszkina tylko szkicuje obraz Eugeniusza Oniegina, nie całkiem jest jeszcze jasne, jaki on będzie. I Puszkina mimo woli daje mu swoje rysy. Znakomite epigramy – to twórczość samego Puszkina. A akurat Oniegin mógł nie umieć odróżnić jambu od trocheja. Nie dlatego, że jest taki głupi, tylko dlatego, że jego oziębły umysł nie może skoncentrować się na takich głupstwach. „Wezbrane ogniem krwi i słów”. Ogień – to cecha samego Puszkina, a nie Oniegina. Pierwszy rozdział „Eugeniusza Oniegina” jeszcze zaraża nas niezwykłą wewnętrzną radością samego poety. Skąd ta radość? Po raz pierwszy geniusz Puszkina trafił na zamysł godny tego geniuszu. I tej radości nie chce i nie może skrywać.

– Pańskie rozważania są miejscami bardzo oryginalne, chociaż pisaniem epigramatów w tamtych czasach pasjonowało się wielu ludzi. Czemu nie poprosi pan, by jakieś wydawnictwo opublikowało pańskie myśli?

– U nas w Rosji mówi się: nie ma nic gorszego niż prosić i czekać. Dla mnie prośenie jest do tego stopnia gorsze niż czekanie, że jestem gotów tak długo czekać, by już za późno było prosić. Nie doczekają się moich prośb. W Rosji można tylko coś wyzebrać albo wygrzyźć. A to niegodne Rozmyślającego o Rosji.

– No dobrze. Od Puszkina stosownie będzie przejść do tematu miłości. Co pan sądzi o tym zagadkowym uczuciu, które Puszkina nieustannie opiewał?

– Tak, wszystkie teksty Puszkina, jak zresztą i Lwa Tołstoja, pływają w bulionie ze sperm. Dla mnie najbardziej zagadkowe w miłości jest to, co w niej niezrozumiałe: skąd się bierze i dlaczego nagle znika.

W studenckich latach byłem zakochany do szaleństwa w jednej dziewczynie z naszego instytutu. W końcu ta dziewczyna odwzajemniła moje uczucie. Jej rodzice byli w delegacji za granicą i mieszkała sama w trzypokojowym mieszkaniu. Nikt nam nie przeszkadzał się kochać! Chodziliśmy lepiąc się od miodowego miesiąca. Mieszkała na pierwszym piętrze. Pewnego razu po teatrze wracamy do domu i nagle okazuje się, że moja ukochana zostawiła na stole klucz od bramy. Co robić? Sąsiadów budzić nie wypada – i noc nam przepadnie! Ale ja nie pozwoliłem jej przepaść! Czepiając się gzymsu, łapiąc za wszelkie występy ceglanego muru dotarłem do jej okna, przez lufcik wlałem do mieszkania, wziąłem ze stołu klucz, zszedłem na dół i otworzyłem bramę.

Gdzieś po miesiącu znowu wracamy wieczorem do domu i okazuje się, że ona znowu zapomniała wziąć klucz od bramy. Postanowiłem powtórzyć swój skromny wyczyn. Ale co u diabła! W żaden sposób nie mogę dopełnić do pierwszego piętra. Ręce ześlizgują się i ześlizgują, kiedy próbuję chwycić mokre występy muru. W końcu trzeba było obudzić sąsiadów i to oni otworzyli nam bramę. Kluczy do mieszkania, od zamka yale, nigdy nie zapomniała. A ja wciąż nie mogę zrozumieć: dlaczego miesiąc

wcześniej w natchnieniu wdrapałem się do jej okna, a teraz nie mogłem. I dopiero potem pojąłem, w czym rzecz. Okazało się – ja już jej nie Kocham. Kiedy po raz drugi próbowałem dodrapać się do jej okna, moje mięśnie odmówiły współpracy. Już wiedziały, że nie Kocham, a ja jeszcze nie wiedziałem. Okazuje się – bywa i tak! Mięśnie już wiedziały, że nie Kocham, a rozum nie wiedział.

– I jak zakończył się pański romans?

– Wyszła za mąż za innego studenta z mojego roku. Miałem nieostrożność opowiedzieć mu o jej roztargnieniu i o tym, jak przez łufcik wszedłem do jej mieszkania i wziąłem klucz.

Ten student, którego zawsze wyśmiewaliśmy, okazał się bynajmniej nie prostaczkiem. W czasie sesji egzaminacyjnej ze zdenerwowania prawie bez przerwy jadł. I im gorzej zaliczał sesję, tym więcej jadł. Pod koniec sesji był już zwykle bardzo zaokrąglony. „No i jak, zdałeś na jakies pięć kilo?” – wypytywaliśmy żartobliwie. Śmiejąc się z głupca, zawsze pamiętaj, że w warcaby gra lepiej od ciebie.

I ten prostak przechrzył wszystkich. Pewnego razu na wykładzie poprosił moją dziewczynę, żeby pokazała mu klucz od bramy. Pokazała, niczego nie podejrzewając. A on miał już przygotowany dobrze ugnieciony miękisz chleba. Błyskawicznie zrobił w tym miększu odcisk i zwrócił jej klucz. Biorąc pod uwagę jego apetyt i ubóstwo, było to z jego strony pewne poświęcenie. Ten miękisz dał jakiemuś ślusarzowi, który mu zrobił nowiutki klucz. I ten klucz mój kolega pedantycznie nosił w kieszeni.

Pewnego dnia odprowadzał ją do domu, a kiedy już podeszli pod jej dom, wyjął ten klucz z kieszeni i ku jej niemiemu zdumieniu otworzył bramę. „Skąd masz ten klucz?” – zapytała. „Przecież pokazywałaś mi swój klucz, no to zrobiłem sobie taki sam”.

Wstrząśnięta jego talentem, wyszła za niego za mąż. Więcej nie musiała się troszczyć o klucz od bramy, zawsze miał go w kieszeni. Ale wtedy wrócili z zagranicy jej rodzice. Wybuchł skandal. Biednego studenta wygnali. A on odchodząc zabrał ze sobą ten drugi klucz jako jedyny przedmiot, który był jego własnością.

Rodzice tej dziewczyny dowiedzieli się o tym z pewnym opóźnieniem i obawiając się, że student będzie przychodził pod ich nieobecność, i chcąc na przyszłość ochronić niewinność córki, zażądali zwrotu klucza. Ale student wymienił taką cenę, że rodzice w pierwszej chwili postanowili wstawić w bramie nowy zamek. Jednakże po trzeźwym rozważeniu całej sprawy, obliczywszy, ile kluczy będą musieli zamówić dla pozostałych lokatorów, wpadli w niejaką prostrację. Ale w końcu troska i dbałość o niewinność córki w przyszłości zwyciężyła i wykupili ten klucz.

Zresztą z okazji wykupienia odbyła się wesola studencka popijawa, na którą ten student mnie zaprosił. Robił przy tym minę, że właściwie wszystko przewidział i zamówił ten klucz, jakoby z góry wiedząc, że jej rodzice go wygonią, ale będą zmuszeni wykupić klucz za cenę, którą wyznaczy.

– A co, może tak właśnie było? A ten student zapewne został „nowym Ruskim”.

– Niestety, straciłem go z oczu. Możliwe, że jest teraz bankierem, zmienił nazwisko, zrobił sobie operację plastyczną, żebyśmy ja razem z jej rodzicami nie podał go do sądu, domagając się odszkodowania za krzywdy moralne oraz za szantażowanie jej rodziców za pomocą klucza. To teraz u nas bardzo modny biznes. Jeden bogaty człowiek podaje do sądu drugiego bogatego człowieka za wyrządzone mu krzywdy moralne. Kiedy tylko wygra proces, strona przegrana natychmiast podaje go do sądu za wyrządzenie krzywdy moralnej przez podanie go do sądu i jeszcze bardziej krzywdzące wygranie procesu.

– I sąd przyjmuje takie sprawy?

– Ja myślę! Jedyny subtelny problem polega na tym, że i adres sądu, i sam sędzia nie może być ten sam.

– Dlaczego?

– Przecież jeden i ten sam sędzia nie może brać łapówek od obu stron z jednego i tego samego powodu. Więc sędzia daje zarobić swoim kolegom.

– Ale jak pan może podać tego kolegę do sądu, jeśli pan sam uczestniczył w studenckiej popijawie? Przecież on znajdzie na to świadków!

– To bardzo proste. Powiem na procesie, że miałem wtedy zaledwie dwadzieścia lat i z powodu niedojrzałości nie rozumiałem, że doznaję krzywdy moralnej. Nie rozumiałem i nie rozumiem! Ale to tylko dla pańskich uszu.

– Historia z pana dziewczyną jest zabawna. Ale takie rzeczy zdarzają się i w Ameryce. Czy nie mógłby pan opowiedzieć mi o jakichś głębszych cechach charakteru rosyjskiej kobiety?

– Kto, jeśli nie ja, Rozmyślający o Rosji, zna najgłębsze tajemnice rosyjskiej kobiety. Oto jedna z nich.

Wszystko zaczęło się pod koniec lat dwudziestych. Ta kobieta pochodziła z przyzwolonej inteligentkiej rodziny, która władzę radziecką traktowała mniej więcej tak jak zwycięską dżumę.

I nagle ich jedyna córka, dziewczyna niezwyklej urody, pokochała dzielnego bolszewika. Pokochała – i koniec! Rodzice wszelkimi siłami starali się powstrzymać ją od zamążpójścia, ale córka uciekła z domu, zerwała z rodzicami, żeby wyjść za niego za mąż. On zaś najwidoczniej był człowiekiem rzeczowym i chociaż niewykształconym, ale za to wściekle energicznym i uzdolnionym organizatorem. Zrobił karierę, został dyrektorem fabryki.

Jednakże ten dzielny bolszewik okazał się jeszcze dzielniejszym pozeraczem serc niewieścich i amatorem alkoholu. Całe życie wojowała z jego kochankami. Jedne wylekała za warkocze, inne wyciągała spod swojego siłacza w sojuszu z ich mężami, wspólnym wysiłkiem. Czasami odchodził od niej i wtedy szła do komitetu partyjnego z niezmienną prośbą: „Oddajcie mi męża”. A komitet zawsze jej go oddawał, a mąż uciszał się na czas jakiś. Potem wszystko zaczynało się od początku. Mieli już dwoje dzieci, ale ona tak go kochała, że wybaczała mu wszystko. Pewnego razu siedziała u niego w fabryce i nagle wpada do gabinetu młoda i niebrzydka sekretarka: „Lonia, co też ty...” – zawołała do jej męża. „Jaki on dla ciebie Lonia!” – krzyknęła żona i rzuciła w sekretarkę karafką z wodą. Ale sekretarka zrobiła unik ze zręcznością najwidoczniej świadcząca o znacznej wprawie. Skandal udało się jakoś zatuzować.

I nagle mąż ciężko zachorował. Żona sama pielęgnowała go w szpitalu, zostawiając dzieci pod opieką sąsiadów. Pewnego razu, mającąc w gorączce, wymamrotała: „Annuszka, ukochana, jedyna moja, ratuj!”.

To nią wstrząsnęło. Miała na imię Anna. Wreszcie poczuła, że zwyciężyła wszystkie jego kochanki! To znaczyło, że w głębi duszy kochał tylko ją i do niej zwracał się w malignie! I ostatecznie wszystko mu wybaczyła: tamte to był tylko kaprys! Radosna, szczęśliwa, uskrzydłona, nie śpiąc całymi nocami, uratowała go, postawiła na nogi i znowu zaczął jeździć do swojej fabryki.

A po jakimś czasie dowiaduje się, że jego ostatnia kochanka też miała na imię Anna. I zrozumiała, kogo wtedy błagał o ratunek! Tego już nie wytrzymała! I to



ona przepędziła go z domu, została sama z dwojgiem dzieci. Wybaczała mu wszystko, co było na jawie, ale zdrady w malignie nie mogła wybaczyć.

A on po tym wszystkim zaczął się staczać. Żona pomimo wszystko utrzymywała go w jakichś cuglach. A w którymś momencie jego hulanki i swawole znudziły się komitetowi partyjnemu, przypomniano mu skargi żony i zdegradowano do zwykłego inżyniera.

Wtedy, może z powodu skruchy, może dlatego, że jego druga Annuszka błyskawicznie go porzuciła, kiedy stracił stanowisko dyrektora, zaczął przychodzić do swojej byłej żony, padał na kolana i błagał, żeby mu przebaczyła i rozpoczęła z nim nowe życie. Ale nic z tego, mógł ją błagać w nieskończoność, nie potrafiła mu wybaczyć tamtej zdrady w malignie!

To go wykończyło, zapił się, a ona wyprowadziła dzieci na ludzi, dzień i noc w tajemnicy przed inspektorami finansowymi obszywając znajomych i ich przyjaciół. Z jaką radością jej ukochani rodzice teraz, kiedy go przepędziła, przytuliliby ją do piersi. Ale niestety, o tym, co się stało, mogła im opowiedzieć tylko na ich mogiłach!

– Tak, to niezła historia. Więc wszystko wybaczyła, tylko mające wybaczyć nie mogła. A co, jeśli w malignie rzeczywiście wołał ją, swoją żonę?

– Jasne, że nie ją. Tu trafiła kosa na kamień. W tej historii jest jeszcze wiele szczegółów. Ta druga Annuszka, sekretarka, w czasie zabaw zmuszała go, żeby stawał na czworakach, i dzielnie ujeżdżała dzielnego bolszewika!

– Jednakże, jak widać, obyczaje u was są dosyć swobodne. A tamta pańska dziewczyna, studentka, była feministką?

– Co też pan?! Ona nawet takiego słowa nie słyszała! Feminizm – to seksualny salierizm. Rok temu w Moskwie poznałem jednego amerykańskiego socjologa. Straszny dziwak! Mieliśmy wspólny biznes.

– Jaki biznes?

– Przypominam, że o swoim biznesie opowiem pod koniec naszej rozmowy. A więc tak. Idziemy sobie ulicą. On, podobnie jak pan, dobrze mówił po rosyjsku.

– A tak przy okazji – zna pan angielski?

– Znam angielski na tyle, że Anglicy nie mogą mnie oszukać. Ale i ja ich nie mogę oszukać po angielsku. Najwyższy stopień znajomości języka – umiejętność wiarygodnego oszukiwania w tym języku.

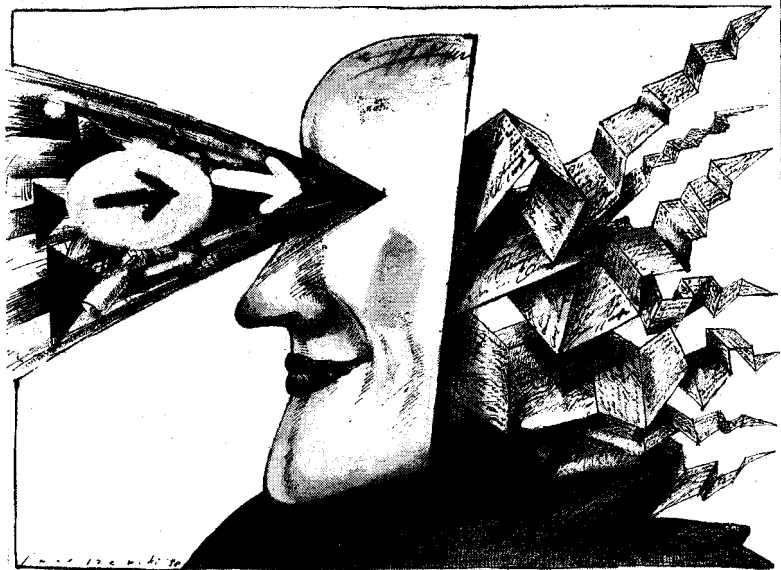
Tak więc idziemy chodnikiem jednej z moskiewskich uliczek. Przed nami jakaś para niemłodych ludzi, chyba włóczęgów. Kłóca się. Po jakimś czasie mężczyzna, najwidoczniej wyczerpawszy argumenty słowne, spuszcza kobiecie lanie. Podbiegam do nich, a mój Amerykanin, próbując mnie zatrzymać, krzyczy: „Nie wtrącaj się! To niekulturalnie!”.

Faktycznie niekulturalnie, jeśli chłop thucze babę, nawet jeśli ta próbuje mu oddać. Podbiegłem, złapałem go za ręce, trzymam mocno: „Ty draniu! Jak można bić kobietę?!”.

Wirywa się, wymyśla mi od najgorszych. Nadal mocno go trzymam. I nagle kilka razy nieźle dostaje po karku. To zaczęła mnie bić kobieta, przysiadując: „Mąż dyskutuje z żoną! Trzeci niech się nie wtrąca!”.

Puściłem go, a oni już się nie bijąc poszli dalej. Oboje trochę pijani, czuję to po zapachu. Ale mężczyzna docenił, że wystąpiła w jego obronie.





„Sam widzisz – mówi mój Amerykanin – ostrzegałem cię. Od razu zrozumiałem, że ta kobieta to feministka”. „Jaka znowu feministka – mówię – to po prostu pijani me-nel”. „Feministka, feministka – upiera się Amerykanin. – Prawdziwe feministki też mogą się włóczyć. Mają taką zasadę – nic, co męskie, nie jest im obce”. „Jaka tam z niej feministka – próbuję apelować do zdrowego rozsądku – oboje są normalnie poriytowani, jak to na kacu. Dlatego się pobili. Mężczyzna prawdopodobnie wypił więcej, więc ma większego kaca. Dlatego on pierwszy użył pięści”. „Feministka – upiera się socjolog – ja feministkę czuję na kilometr. Jako feministka starała się nie pozostać w tyle za mężem”. „Co ma do tego feminizm – krzyczę już – to po prostu para pijaków!”. „Rosja to ojczyzna feminizmu – objaśnia mi Amerykanin – z tego właśnie powodu tu przyjechałem. Szperam w archiwach. Chcę o tym napisać obszerną pracę”. „Jaka tam ojczyzna feminizmu – odpowiadam – mamy po uszy własnych problemów”. „Rosja – ojczyzna feminizmu – powtarza socjolog – i możecie być z tego dumni. Katarzyna Wielka była feministką, słynna Anna Kern była feministką, żona Czernyszewskiego była feministką i nawet ukochana Lenina, Inessa Armand, też była feministką”. „Według ciebie wychodzi na to, że każda dziwka była feministką” – mówię. „Nic podobnego – odpowiada – jest zasadnicza różnica. Nieskrępowane stosunki z mężczyznami, jeśli o nich mowa, są skutkiem feminizmu, a nieskrępowane stosunki z mężczyznami, jeśli o nich mowa, są skutkiem feminizmu, a nieskrępowane stosunki z mężczyznami, jeśli o nich mowa, są skutkiem feminizmu, a nieskrępowane stosunki z mężczyznami, jeśli o nich mowa, są skutkiem feminizmu. Odwrotny związek przyczynowo-skutkowy! A czy wiesz, że rewolucja lutowa była w istocie rewolucją feministyczną?! A rewolucja październikowa była kontrrewolucją męskiego szowinizmu! To moje odkrycie i nikomu go nie oddam. Przygotowuję obszerną pracę”.

Tracę zmysły. „No dlaczego rewolucja lutowa była feministyczna?!” – krzyczę. „Rząd Kiereńskiego i sam Kiereński byli feministami – mówi dalej mój amerykański socjolog – jest wiele subtelnych szczegółów jeszcze tu u was nie znanych. Ale przecież wie pan, że przemówienia Kiereńskiego doprowadzały damy do szaleństwa. Czasem

nawet traciły przytomność z zachwytu. Chyba wie pan, że tylko batalion kobiecy próbował bronić Pałacu Zimowego. Czy to mógł być przypadek? No sam pomyśl – legalnego rządu broni jedynie batalion kobiecy! I nawet legenda, że Kiereński uciekł z Pałacu Zimowego w kobiecym przebraniu, potwierdza moją myśl. Ale Rosja była krajem zbyt patriarchalnym. I męski szowinizm zwyciężył. Jednakże nastroje feministyczne były tak silne, że Lenin był zmuszony rzucić hasło: Nauczmy kucharkę rządzić państwem!”. „Co też opowiadasz – próbuję go przekonać – Lenin chciał powiedzieć, że każdy prosty człowiek, analfabeta, może rządzić państwem. Co zresztą się stało!” „Nie – odpowiada Amerykanin – Lenin musiał uciszyć feministki. Inaczej by powiedział: Nawet kucharza nauczmy rządzić państwem! Pierwsza rozgryzła Lenina Inessa Armand. Zrozumiała, że Lenin mówi jedno, a robi coś zupełnie innego. Stąd ich tragiczne rozstanie i w rezultacie zagadkowa śmierć Inessa Armand”.

Zabawny dziwak. Spieraliśmy się przez cały wieczór, od czasu do czasu orzeźwiając się alkoholem. Odprowadziłem go do jego, nawiasem mówiąc, skromnego hotelu, kiedy było już dobrze po północy. Drzwi wejściowe były zamknięte. I nagle Amerykanin zaczął z taką wściekłością pięściami i butami łomotać do drzwi, że zrozumiałem: pomimo jego feministycznej pasji tkwi w nim zbyt mocny jeszcze męski pierwiastek. Nawet przestraszyłem się, że dojdzie do politycznego skandalu i właśnie ja pierwszy, jako Rozmyślający o Rosji, padnę jego ofiarą. Ale nie. Jakoś się obeszło. Zaspany portier otworzył drzwi i wpuścił socjologa.

– Tak, u nas w Ameryce feminizm czasami przybiera zwyrodniałe formy. Bo też Ameryka zawsze była zbyt męskim krajem. Ale, ale, czy był pan w Ameryce?

– Tak, byłem w Ameryce.

– Co pana w Ameryce najbardziej zdziwiło?

– Ameryka najbardziej mnie zadziwiła, jeszcze zanim moja stopa dotknęła jej ziemi. W jednym z europejskich portów lotniczych czekam na samolot do Ameryki. Obok mnie czeka duża grupa amerykańskich staruszek. Wracają do domu. Jedna z nich bez przerwy coś opowiada, reszta się śmieje. A jedna staruszka śmieje się szczególnie głośno, wychichotując się ze zbiorowego chichotu. Do tego nie przestając chichotać siada na ławce obok mnie. Zapala papierosa i zawadiacko opierając nogę na ławce nadal przysłuchuje się opowieści, przechichotując pozostałe. Poza z nogą na ławce – wulgarna. Ale jakaż żywotna siła emanuje z nogi właścicielki! Staruszka-śmieszka! Jeśli zamknąć oczy – rozbawione studentki! Niech mi pan powie – te staruszki tak się śmieją dlatego, że stoi za nimi potężne mocarstwo, czy mocarstwo jest potężne dlatego, że staruszki mogą tak chichotać?

– Obawiam się, że staruszki-śmieszki zgubią Amerykę. Nie mają co robić i dlatego do wszystkiego się wtracają. Skłonność do śmiechu jest oznaką nie tyle poczucia humoru, ile zdrowia. A co pana najbardziej zdziwiło w samej Ameryce?

– Najbardziej w Ameryce zdziwiło mnie to, z jaką żarłocznością Amerykanie pochłaniają lód, tak jakby zaprzysięgli zemstę wszystkim lodowcom za katastrofę „Titanica”!

– Tak, my, Amerykanie, lubimy lód. Lód dla nas jest nawet środkiem higieny, jak dla staruszki Europy wrzątek. A co jeszcze pana zdziwiło w Ameryce?

– Omal nie zapomniałem o najważniejszym. Spotkałem w Ameryce człowieka w przeszłości Rozmyślającego o Rosji, który obecnie zmienił się w Rozmyślającego o Ameryce. Ciekawa metamorfoza.

W Nowym Jorku kilka dni mieszkałem u przyjaciół. Przyszedł do nich z wizytą znany w przeszłości rosyjski dysydent, który niejednokrotnie publicznie protestował prze-

ciwko łamaniu przez nasze władze ustanowionych przez nie praw. Przymknięto go. Ale i w więzieniu nadał walczył o prawa aresztantów, które łamano. Za co niejednokrotnie był bity i niejednokrotnie zamykany w karcerze. Wreszcie wyrzucono go z kraju.

Wszedł do mieszkania razem z owczarkiem alzackim. Średniego wzrostu, krzepki, gniewnie wesoły. Znakomicie mówi po angielsku.

Kiedyś, dawno temu w Rosji, kiedy siedział w jakimś prowincjonalnym więzieniu, niepojętym sposobem udało mu się dodzwonić do przyjaciół w Moskwie. U nas więźniom nie pozwala się korzystać z telefonu. Wstrząśnięci przyjaciele pomyśleli, że uciekł z więzienia i ten telefon zdradzi miejsce jego pobytu. Ale dysydent dzwonił z więzienia. Jak on to zrobił, było kompletnie niepojęte i w rosyjskich warunkach absolutnie fantastyczne. Być może, tak sobie myślę, w czasie przesłuchania śledczy wyszedł z gabinetu, a on skorzystał z jego telefonu. Nie wiem. On sam nie wytłumaczył, w jaki sposób znalazł się przy telefonie, i tylko mimochodem zakomunikował, że trzeba było znać kod połączenia z Moskwą, perfekcyjnie naśladować głos naczelnika więzienia, żeby telefonistka niczego się nie domyśliła i połączyła z Moskwą. I tak właśnie to się odbyło. Po tym telefonie w więzieniu powstał wielki popłoch, niektórych pracowników wyrzucono, a samego dysydenta wysłano do jednego z najsurowszych syberyjskich łagrów. „Po co ci owczarek?” – zapytałem. „W Nowym Jorku – odpowiedział wesoło – owczarek jest niezastąpionym przyjacielem. Niedawno szedłem taką jedną bezludną ulicą. Patrzę, a tu na oparciu ławki przed skwerem siedzi Murzyn i pije piwo z puszk. Wypił piwo i rzucił puszkę na chodnik, chociaż kosz na śmieci stał tuż obok. A ja po prostu nie znoszę, kiedy łamie się przepisy porządkowe”. „Podnieś puszkę i wrzuć do kosza” – mówię do niego. A Murzyn pogardliwie szczyrzy zęby i nie odpowiada. „Bierz go, Jim!” – krzyknąłem i puściłem psa. Pies skoczył, ale Murzyn z niebywałą zwinnością fiknął i upadł na krzaki po drugiej stronie ogrodzenia.

Pies biega, nie wie, jak brać Murzyna. (Dlaczego pies nie skoczył za Murzynom, znajomy nie wyjaśnił. Być może, pilnując porządku w Ameryce, nauczył psa, że nie wolno skakać przez ogrodzenia). Pies chwilę biegał tam i z powrotem, ale potem pobiegł wzdłuż ogrodzenia, znalazł wejście na skwer i ruszył na Murzyna. Ale zanim do niego dobiegł, Murzyn znowu usadowił się na oparciu ławki. Pies wybiegł ze skweru, dobiegł do Murzyna i skoczył. Ale Murzyn zdążył znowu fiknąć przez ogrodzenie i upaść na krzaki. Pies pobiegł do wejścia. I tak kilka razy.

„Co pan wyprawia! – krzyknęła nagle jakaś litościwa Amerykanka, która akurat nadeszła. – Pan szczuje Murzyna psem! Zadzwoń na policję!” Pokazałem jej puszkę i wytłumaczyłem, o co chodzi. „Oburzające – krzyczy Amerykanka – zaraz zadzwonię na policję”. „A ja zaraz zapytam Jima, co o tym sądzi” – odpowiadam. Popatrzyłem na Jima, następnie Jim uważnie popatrzył na kobietę. Kobieta się wystraszyła i poszła sobie.

Pies znowu zabrał się za Murzyna. Tym razem, kiedy pies biegł na skwer, Murzyn wyskoczył na ulicę, podniósł puszkę po piwie i wrzucił ją do kosza na śmieci. Żałośnie usiadł na oparciu ławki. W oczach tysiącletni smutek. Ale porządek został przywrócony i już nic przeciwko niemu nie miałem.

Przypiąłem psu smycz i poszedłem dalej. Następnego dnia idę tą samą ulicą i widzę: kilku Murzynów stoi za szklanymi drzwiami kawiarni. Wśród nich jest i mój. Pokazuje na mnie i coś opowiada swoim przyjaciołom,



takim samym pijackom jak i on. Jednakże dopóki nie odeszliśmy, mój pies i ja, nie poważyli się otworzyć drzwi kawiarni. Gdybym był bez swojego wiernego Jima, niewątpliwie doszłoby do bójki. Być może dostałbym nożem. A tak nie poważyli się.

– Powiedziałbym, że pański znajomy zbyt aktywnie zaprowadza w Ameryce porządek przy pomocy owczarka. A co panu najbardziej spodobało się w Ameryce?

– Zauważyłem, że jeśli gdziekolwiek – w metrze czy w sklepie – przypadkiem zatrzymać wzrok na Amerykance, to Amerykanka uśmiecha się życzliwie. A u nas, jeśli ktoś przypadkiem zatrzymuje na tobie wzrok, to sztywniejesz wewnętrznie w oczekiwaniu na chamsstwo. Jaki tam uśmiech! Diabelna różnica. Ogólne wrażenie: w Ameryce – niechlujny dobrobyt. U nas – nerwowa nędza.

– Oderwijmy się od polityki. Lepiej niech mi pan powie, co myślą Rozmyślający o Rosji o kobiecej naturze? Czy może o tym w ogóle nie myślą?

– Rozmyślający o Rosji rozmyślają o wszystkim, co jest związane z przyszłością Rosji. A właściwie zrozumienie kobiecej natury ma związek z przyszłością Rosji.

Podstawa kobiecej poetyczności to nieśmiałość. Kobieta powinna przesadnie lękać się o los swoich bliskich, powinna przesadnie bać się ciemności, burzy, szcurków, karaluchów, złych słów, trwoźnych przeczuć. Łęklive trzepotanie to podstawa jej poetyczności. Tatiano, Lizo, gdzieżeście? To budzi w mężczyźnie pożądanie, męstwo i poczucie odpowiedzialności. Czyżby pan nie zauważył – mężowie odważnych kobiet zawsze mają na twarzy wyraz zagubienia. Zachwiana została równowaga natury, chociaż oni sami mogą tego nie zrozumieć do końca swoich dni. Są zagubieni i dlatego właśnie stają się bojaźliwi, a ich odważne żony dlatego właśnie stają się jeszcze odważniejsze i bezczelniejsze, przez co ich mężowie gubią się ostatecznie. Biada krajowi, w którym jest zbyt wiele odważnych kobiet. Nieśmiała kobieta może być heroiczna jak jaśkółka broniąca swego pisklęcia!

Nasz słynny poeta powiedział o rosyjskiej kobiecie: „I powstrzyma konia w pędzie, do płonącej chaty wejdzie!”. To właśnie nieśmiała kobieta wbiegnie do gorejącej chaty, ratując swoje dziecko. A kobieta odważna, porzuciwszy swoje dziecko, pobiegnie powstrzymać pędzącego konia. A po jakiego diabła go powstrzymywać?! Kto ją prosił, żeby włąziła pod konia?! Koń – męska sprawa!

– Dobrze, że tego nie słyszą nasze feministki. Rozszarpałyby pana na strzępy! Jak pan sądzi, czy seks jest związany ze wzajemną sympatią duchową partnerów? Wciąż nie potrafię sobie odpowiedzieć na to pytanie. Czasami wydaje mi się, że związany, a czasami – że nie.

– Seks w ogóle nie ma żadnego związku z duszą. Odpowiem panu przypowieścią. Oto, co opowiedział pewien nieborak. Miał dobrą, wierną, nabożną żonę. Ale ta żona była bardzo brzydka. Ten utrudzony nieborak miał także kochankę. Bardzo piękną, ale z charakterem jadawitej żmii. Kiedy spał z żoną, wyobrażał sobie na jej miejscu swoją piękną kochankę i to podnosiło temperaturę jego namiętności.

Kiedy zaś spał ze swoją jadawitą kochanką, próbował wyobrazić sobie, że ma ona dobrą, miłującą Boga duszę jego żony. Ale, ku jego zdumieniu, nie miało to najmniejszego wpływu na temperaturę namiętności. O tym wszystkim opowiedział mi ów nieborak. Z jego doświadczenia wynika, że wyobraźnia emocjonalna wpływa na nasz seks, a moralna wyobraźnia nijak nie wpływa. Dusza nie ma wpływu na seks. Dokładnie tak, jak nasz umysł nie wpływa na nasz sposób myślenia.



– A to dlaczego?

– Rozum wykonuje tylko zadanie duszy. Ja na przykład uważam, że dusza człowieka stoi znacznie wyżej niż jego rozum. Tym samym poniżam wprawdzie rozum, ale wszystkie dowody logiczne o przewadze duszy logizuję przy jego pomocy. Rozum nie obraża się z powodu poniżenia i uczciwie wykonuje moje zamówienie. Ale dokładnie tak samo rozum logizuje wszystkie ideologie uzasadniające nienawiść. Rozum to coś w rodzaju aparatu do pędzenia bimbru. W jego systemie chłodniczym skrapla się i przemienia w ciecz alkohol z winogron, tak samo jak z każdego innego gówna.

Rozum jest zaledwie maszyną do logizacji tego, co wibruje i kipi w naszej duszy. Podobnie jak seks jest maszyną do logizacji naszych dążeń emocjonalnych. Ingerencja duszy jest dla seksu wyłącznie zawadą. Seks wymaga otepienia. Jak to genialnie zauważył Tiutczew – „posepny, mętny, ogień lubieżności”. Szczególnie precyzyjny, szczególnie wyrazisty jest epitet „mętny”.

Pamiętam, kiedy jako student na komsomolskich zebraniach, schowany gdzieś w kącie, słuchałem otepiających przemówień i już kompletnie nimi odurzony nierzadko rozbudzałem się emocjonalnie. Proszę zwrócić uwagę – człowiek w momencie największego napięcia seksualnego może się rozplakać, a roześmiać – nigdy. To poważna sprawa. Mogę tu tylko dodać, że nieapetycznej cnoty nie dopuszcza się do współzawodnictwa cnót, ponieważ nie jest jasne źródło jej cnotliwości. I na tym kończymy rozmowę na ten temat.

– Jak widzę, Rozmyślający o Rosji rozmyślają nie tylko o Rosji!

– To tylko tak sobie, przy okazji.

– Wie pan, o czym jeszcze nie rozmawialiśmy? O religii. Jeden z moich przyjaciół tak tłumaczył swój ateizm. „Niemieło myśleć – mówił – że ktoś, chociażby nawet z nieba, śledzi cię, śledzi, śledzi. To męczące”.

– Dowcipnie. Ale zbyt mało rozpaczliwej wesołości. Mnie także jeden znajomy mówił: „No więc ochrzciłem się, a na kacu dalej mi jest tak samo paskudnie, jak było. Po co więc się ochrzciłem?”. To, że wiara jest znacznie bardziej życiodajna od niewiary, stało się już chyba jasne dla każdego. Ale poczucie obecności Boga, zetknięcie się z Jego duchem to ogromna rzadkość. Niedawno doświadczyłem tego. Owego dnia nieprzerwanie rozmyślałem o Rosji. Przez cały wieczór, do chwili, kiedy się położyłem, rozmyślałem o Rosji. I stało się dla mnie absolutnie jasne, że nie myśleć – grzech. Większość ludzkich grzechów wynika z tego, że człowiek nie myśli i nie rozumie, że nie myśleć – grzech.

I machinalnie powiedziałem sobie, zanim poszedłem spać, powiedziałem z absolutną szczerością: „Boże, dziękuję Ci za ten dzień!”.

I było mi dobrze, a kiedy powiedziałem to sobie, stało mi się jeszcze lepiej. I zrozumiałem tego wieczoru, że On usłyszał mnie i pochwalił. W każdym razie za ten dzień. Wiara to niezniszczalna ludzka potrzeba doznania najwyższej wdzięczności i skargi najwyższej. Niezniszczalność tej potrzeby od wieków i tysiącleci jest dowodem na naturalność wiary w Boga.

Oprócz tego istnieje czysto życiowa wyższość wiary.

– O tym właśnie chciałbym usłyszeć. My, Amerykanie, jesteśmy gorącymi wielbicielami bezpośrednich korzyści. Nic nie jest bardziej przekonujące od korzyści.

– Ludzie wyrachowani kiepsko liczą, ale to okazuje się dopiero na tamtym świecie. A oto czysto praktyczna, życiowa wyższość wiary:

Ludzie wierzący w Chrystusa, Mahometa, Buddę starają się być godnymi uczniami. Nie przychodzi im do głowy zrównać się z Nauczycielem, a już tym bardziej Go prze-

ścignąć. A człowiek niewierzący zawsze stwarza sobie cudzego boga, któremu ma nadzieję dorównać, a jak się uda – przewyższyć. Rozwija to dwie przeciwstawne cechy ludzkiego charakteru. To, że Nauczyciel jest niedościgły, staje się źródłem powściągliwości i zachwytu wobec tego wszystkiego, co dla człowieka wierzącego nieosiągalne. Zaś odwieczne marzenie, by zrównać się z bogiem albo go przewyższyć, rozwija w człowieku tupet.

- Co to jest duma?
- Gniew skuty pogardą.
- Co to jest skromność?
- Ogromnie cierpliwa duma.
- Co to jest zawiść?
- Falszywe uczucie, że ktoś inny ukradł nasz los, i jednocześnie nieprzyjemny domysł, że nie żyjemy tak, jak by należało.
- Sytuacja bez wyjścia?
- Kiedy człowiek pije, bo jest nieśmiały, a leczy się z pijackich napadów szału.
- Co to takiego antysemityzm?
- Oto metafizyka antysemityzmu. Żydzi są od nas starsi i jakoby mogli nas uratować, kiedy jeszcze byliśmy całkiem malutcy, ale nie uratowali, i do tego są na tyle bezczelni, że nie wyglądają na starszych od nas.
- Może też wie pan, co to takiego błżeństwo?
- Tajemna niewinność prawdy.
- Kto ma największy autorytet?
- Największy autorytet ma ten, kto nie wykorzystuje własnego autorytetu.
- W takim razie proszę mi powiedzieć, czym jest chrześcijańska cierpliwość?
- Jeśli chodzi o chrześcijańską cierpliwość, to niedawno skompromitowałem się. Nocowałem w domku letniskowym. Zanim zasnąłem, jak zwykle rozmyślałem o Rosji. Ale jakiś natrętny komar i zasnąć mi nie pozwalał, i rozmyślać o Rosji przeszkadzał. To brzęczał nade mną, to siadał na mnie. Wszelkie moje wysiłki, żeby go zatłuc, okazały się daremne. I nagle zobaczyłem obraz swojej walki z komarem we właściwym świetle. Człowiek, korona stworzenia, potężny aparat psychologiczny, zmusza swoje ciało do trwania w kłamliwym bezruchu, żeby przechrzcić komara. Co za hańba! Postanowiłem: niechaj komar usiadzie na mnie, napije się krwi, ja to wytrzymam, a on, kiedy już opije się krwi, odleci. Zamarłem. Pobręczał nade mną, pobręczał, a potem usiadł na moim ciele. Uspokoił się. Wetknął we mnie swój ryjek i zaczął pić krew. Pocierp, mówię do siebie. Ale chyba smak mojej krwi nie przypadł mu zbytnio do gustu, bo dobrowolnie odleciał. Czyżby, myślę, tak szybko się napił? Styszę – znowu brzęczy, kapryśnie wybierając miejsce lądowania. Ponownie zamarłem. Teraz, myślę, już się napije. Siadł, pokręcił się trochę i znowu wbił we mnie swój ryjek. Cierp, mówię sobie, tu już się napije. Odpadł, ale jakoś nie odlatuje. Znowu brzęczy nade mną. Długo wybierał miejsce. Usiadł, przebiera łapkami. Uspokoił się. Znowu wbił we mnie swój ryjek. Pije. Czyżby komar wiedział o naszej krwi więcej niż my, zastanawiam się. Może faktycznie krew w różnych miejscach naszego ciała ma różny smak. A on wciąż wybiera. Po piątym razie nie wytrzymałem! Zapomniawszy o chrześcijańskiej cierpliwości, napadłem na niego i rozgniotłem jak rozwścieczona becзка degustatora! „Niechaj ten sam los spotka wszystkie pasożyty Rosji” – pomyślałem, pomału uspokoiłem się, zasnąłem. Jak powiedział pewien człowiek także Rozmyślający o Rosji, zabijając komara przelewamy własną krew.

- Po komarach najwyższy czas porozmawiać o pasożytach Rosji. Jak to wszystko mogło się wydarzyć w Rosji, kraju Puszkina, Tołstoja i Dostojewskiego?

- Nasz wybitny filozof Bierdiajew powiedział kiedyś: Rosjanin ma w sobie coś z baby. Ja bym powiedział - babskie zaufanie do ostatniego wrażenia.

Słynne słowa Nietzschego: „upadającego popchnij”. Załóżmy, że stają się obowiązującym w państwie zarządzeniem. Ilu popychano by tych, którzy nie upadają? „Przecież ten człowiek nie upadał, dlaczego go popchnąłeś?”. „A mnie się zdawało, że upadał”.

Marksizm to w istocie rzeczy ten sam nietzscheanizm, tylko bez jego poezji. W roli nadczłowieka - dyktator. Jego główne hasło: „Burżuazyjne społeczeństwo upada - popchnij je”.

Więc popychali, jak mogli. W rezultacie my sami rozpadliśmy się bez żadnego pchnięcia z zewnątrz. Co po raz kolejny przypomina nam o tym, że każdy człowiek z osobna, każde społeczeństwo, powinno dbać o własną stabilność. Koncentrując się na myślach o cudzej niestabilności, mimo woli zapominamy o własnej stabilności.

A w jaki sposób zwyciężyli bolszewicy? Oprócz przemocy jest jeszcze jeden czynnik psychologiczny, który wykorzystali. Człowiek, który burzy swój własny dom, wydaje się w najlepszym razie szaleńcem. Człowieka burzącego wszystkie domy na ulicy jesteśmy skłonni traktować jak projektanta nowej, lepiej wytyczonej ulicy. Ludzki mózg odmawia uznania za oczywisty totalnego obłędu i szuka dla niego racjonalnego usprawiedliwienia. Tę szczególną cechę ludzkiej świadomości wykorzystywali twórcy wszystkich wielkich przewrotów. Naszym przodkom w swoim czasie zabrakło ducha, aby nazwać szaleństwo szaleństwem, chociaż Rozmyślający o Rosji wtedy również ostrzegali, że to skończy się katastrofą.

- Ale co robić dzisiaj? Wszyscy zgadzają się co do tego, że stoicie nad przepaścią.

- Rozmyślający o Rosji opracowali kilka wariantów wyjścia z katastrofy. Ja osobiście rozważałem najcięższy przypadek: jak się zachowywać spadając w przepaść. Zaraz obaj odegramy ten przypadek. Proszę sobie wyobrazić, że spadamy w przepaść.

- A mnie co do tego? Ja jestem Amerykaninem.

- Ale przecież na razie rozpatrujemy ten wariant tylko teoretycznie. A więc lecimy w przepaść, mając możliwość rozmawiania ze sobą. Niech pan mnie o coś zapyta.

- O co mam pytać?

- Niech pan się włączy w ten, chwilowo jeszcze teoretyczny, eksperyment. Głowa do góry, spadamy w przepaść i rozmawiamy. Proszę mnie o coś zapytać, a ja będę odpowiadał, tak jak tutaj. Przez cały czas proszę mnie o coś pytać!

- Jakoś nie bardzo rozumiem. Jeszcze lecimy czy już jesteśmy na dnie?

- Jeszcze lecimy. Na dnie już się nie rozmawia.

- To znaczy tam na dnie - koniec z nami?

- Niekoniecznie. Możemy nogami przebić dno i polecieć dalej.

- Czyż można nogami przebić dno?

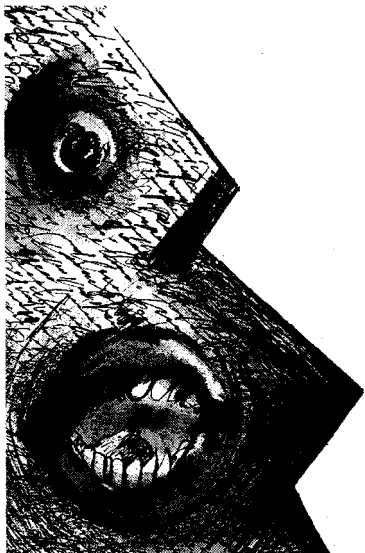
- Można. Jeszcze Puszkina powiedział: wybił dno i poszedł precz. To jest nasze dno.

A jeśli u nas wszystko już przegniło, to znaczy, że przegniło i dno. Przebijemy nogami dno i polecimy dalej. Tylko nogi trzeba trzymać równolegle. Niech pan pamięta!

- I będziemy lecieć aż do następnego dna!

- Tak, do następnego. Następne dno też jest nasze. To znaczy, że przegniło. Przebijemy je nogami i polecimy dalej.





– O ile wiem, w języku rosyjskim nie ma liczby mnogiej od rzeczownika „dno”. Więc skazani jesteśmy na pierwsze dno, tam musimy pozostać.

– Myli się pan! W rosyjskim języku wszystko jest. Liczba mnoga od słowa „dno”

– „dna”. Wszystko zostało przewidziane. Niech żyje wielki i potężny język rosyjski!

– Dziwne słowo – „dna”. Nigdy go nie słyszałem.

– Ale też nigdy nie spadał pan na dno. Nie takie rzeczy jeszcze pan usłyszysz!

– Więc uważa pan, że przebijemy nogami również i drugie dno?

– Jestem pewny. Jeśli wszystko u nas przegniło, to znaczy, że przegniły także wszystkie dna. Przebijemy je nogami. Tylko na czas lotu będziemy musieli zostać „surojardami”. Zbocza przepaści są dosyć urodzajne. Trafiają się czarne jagody, jeżyny, grzyby, dereń. Tylko niech pan nie przegapi.

Cap ręką w locie i do ust! Teraz już rozumiem, dlaczego w naszym kraju tak wielu ludzi zaczęło jeść surowiznę. Przewidzieli, co ich czeka! Ale cwany ten nasz naród!

– Więc chyba dobrze, że tu wszystko przegniło. To wam ocali życie.

– Chyba tak. Jeśli już gnąć, to do końca!

– Jak dobrze, że są dna! Niech żyją dna! Ale przecież i dna kiedyś się skończą?

– Jest szansa, że być może kiedyś chlupniemy w raj. Wyobraża pan sobie, jaka to będzie radość! Witaj mamusiu! Witaj tatusiu! Otóż i ja!

– A jeśli chlupniemy w piekło?

– Jeszcze lepiej! Wszystko obmyśliłem, marzyłem o tym całe życie. Tam spotkamy wszystkich wodzów rewolucji. Krzyknę do nich: „Nauka Marksa jest wszechmocna, dlatego że to zabobon!”.

Tak marzyłem, żeby ich spotkać. Na widok Stalina powiem: „A z wami, towarzyszu Stalin, chciałbym kontynuować dyskusję o językoznawstwie”. Ale on najprawdopodobniej mi odpowie: „Za wysokie progi na twoje nogi”.

Wtedy ze swojego piekielnego gabinetu wybiegnie dziarski już na wieki Lenin. Zażąda: „Wysłańcy z Rosji? A wy, towarzyszu, jesteście z Kominternu? Wyśmienicie. Czy tam u was kucharki rządzą państwem, tak jak przepowiadałem? Bardzo dobrze!

A my znowu jesteśmy na emigracji. Arcydzioki kraj! Daleko im do Szwajcarii! Azja! Jacyś dziwni aborygeni. Strasznie odporni na agitację. I jednocześnie twierdzą, że to właśnie dla nas, jako dla pokrewnego im plemienia, stworzyli warunki prawie takie jak na Kremlu. Też mi Kreml, nawet herbata pachnie siarką. Wszędzie dookoła płonące rzeki! Kąpią się w nich jacyś reumatycy, krzyczą dzień i noc, najwidoczniej z chorobliwego zadowolenia. Mówię do ich przywódców: „Płonące rzeki? Trzeba budować elektrocieplownię. Komunizm to władza rad plus elektryfikacja całego piekła!”.

Jak tylko zaczynam mówić o tym ich przywódcom, udają, że nie rozumieją języka. Próbuje już i po rosyjsku, i po francusku, i po niemiecku! A oni na wszystko odpowiadają: „Moja twoja nie rozumieć! Biesy i czarty – bracia po wsze czasy!”. Jakiś idio-

tyzm. Niedawno po prostu wyprowadzili mnie z równowagi i zawołałem: „Papuasy przekłete! Niech wam się nie zdaje, że ja to jakiś Mikłucha-Makłaj! Jestem Lenin! Zaraz każę Feliksowi Edmundowiczowi was rozstrzelać!”

Nerwy zawodzą. Oczywiście, można to potraktować jako szowinizm. Niby że Rosjanie są lepsi od Papuasów. A my, bolszewicy, zawsze twierdziliśmy, że wszystkie narody są równe. Szczególnie przed plutonem egzekucyjnym. Przyjdzie przeprosić towarzyszy. Przeprosić i rozstrzelać! Dialektyka!

Na domiar złego Koba nadal bez przerwy intryguje. Uważa, że to na moje tajne polecenie trumnę z jego ciałem wyniesiono z mauzoleum. Brednie! I to w sytuacji, kiedy mojego trupa bez mojej zgody umieszczono w mauzoleum. Arcyglupota! W ogóle Koba traktuje swojego trupa z niedopuszczalnym dla bolszewika pietyzmem. Mieszalnina idealizmu z pogaństwem. „Nie wstyd ci, Koba? Bo mogę tę sprawę postawić przed KC!”

„Trup trupowi nierówny – nadymając się odpowie Stalin. – Ja mam trupa generalissimusa”. „I tego oto intryganta – zawoła Lenin – miejscowi aborygeni uważają za głównego teoretyka partii! To utrudnia moją robotę! Niebywała ignorancja!”

I wtedy rzucę im w twarz całą prawdę. Marzyłem o tym przez całe życie. Krzyknę: „Jesteście tu razem, wszyscy wodzowie rewolucji. Powiedźcie mi, czy w całej waszej historii był chociaż jeden szlachetny uczynek?”

Wtedy oni wszyscy najpierw podniosą straszny harmider, a potem dojdą do zgody i jednomyślnie zaczną krzyzczeć: „Głodowe omdlenie Ciurupy! Głodowe omdlenie Ciurupy!”

– Kto to taki ten Ciurupa? Jakoś o nim nie słyszałem.

– Był taki działacz partyjny. Zarządzał całą żywnością Republiki Radzieckiej i rzeczywiście pewnego razu zemdlął z głodu. „A gdzie też sam Ciurupa? – zapytam wtedy. – Jakoś go tu nie widzę”. „Bo skierowano go do raju – wtrąci się Kalinin gładząc brodkę – przyprowadzają do niego delegację aniołów i pokazują: oto bolszewik, który zarządzał wszystkimi produktami żywnościowymi kraju, a sam zemdlął z głodu. Święty Ciurupa! I patrząc na Ciurupę, aniołowie płaczą ze wzruszenia. A my tymczasem już nawiązaliśmy kontakty z Ciurupą. Z jego pomocą przeniesiemy się do raju i rozsadzimy go od wewnątrz”. „Wiem, co myśleć o tym waszym głodowym omdleniu Ciurupy – wtrąci się wiecznie zawistny Stalin – prosiłem go, żeby wydał z magazynów KC tuzin butelek katechińskiego wina. Spodziewałem się gości. A on mi odmówił. Wtedy tak na niego popatrzyłem, że aż zemdlął i upadł. Macie wasze głodowe omdlenie Ciurupy”. „Koba znowu szkaluje – wmiesza się Lenin – głodowe omdlenie Ciurupy potwierdzili wszyscy kremłowscy lekarze. A że w raj użnano jego zasługi, to też nieźle. Czasem uznanie wroga jest najlepszym dowodem naszej racji. Aha, czy wasi obecni przywódcy mdleją czasem z głodu?”. „Żeby przywódcy mdleli, to nie słyszałem – odpowiem – ale górnikom i nauczycielom to się zdarza”. „Bohaterstwo jest zarazliwe! – zawoła Lenin. – Lud podchwycił głodowe omdlenie Ciurupy! Zawsze byłem zwolennikiem monumentalnej propagandy!”

– Boże, co za koszmar! Ale może wyminiemy piekło!

– Wszystko możliwe! Lecimy sobie, przebijając dna! Nagadamy się do syta i rozwiążemy wszystkie nie rozwiązane rosyjskie problemy. Widocznie od początku należało rozwiązywać je w locie. A my próbowaliśmy rozwiązać je siedząc w swoich kuchniach, popijając herbatę albo i wódeczkę. Nie udało się. A przecież nie



przypadkiem jakiś myśliciel powiedział: ruch jest wszystkim, cel – niczym.

– Ale jaki ma sens rozwiązywanie waszych problemów, jeśli i tak niczego nie może pan przekazać swoim na górę?

– Po co na górę? Wszyscy nasi będą na dole.

– Wszyscy?

– Wszyscy, którzy dolecą.

– Dolecą do czego?

– A tego to akurat nie wiem.

Najważniejsze, że dolecą.

– Tak więc uważa pan, że nie wszyscy dolecą?

– Oczywiście dolecą nie wszyscy. Ale ci z nas, którzy dolecą, podzielą się swoimi myślami ze współobywatelami.

– Więc liczy pan, że my jednak dolecimy?

– Wszyscy na to liczą.

– I ci, co nie dolecą, też tak liczą?

– Oczywiście.

– Żal mi ich. Ale my przecież mamy większe szanse?

– Oczywiście. Mam doświadczenie w skokach spadochronowych. Pasjonowałem się skokami ze spadochronem. Ale potem wszystkie spadochrony zabrano nam i utajniono. Już wtedy można było się domyślić, że sprawa źle wygląda, ale ja się nie domyśliłem. Byłem łatwowierny.

– Ale my przecież lecimy bez spadochronów?

– Mam wielkie doświadczenie w kwestii lądowania. Proszę wszystko robić tak jak ja. Przy okazji – robi pan nogami nożyce. Trzeba je trzymać równolegle! Niech pan przywyka!

– Wobec tego zacznijmy dyskutować – kto jest temu wszystkiemu winny i jakie jest wyjście?

– Teraz za późno na dyskusję, dno już blisko. Przebijemy je nogami i potem zaczniemy dyskuszję.

– A jeśli nie przebijemy?

– Tym głupiej byłoby teraz o tym dyskutować.

– Jak pan przypuszcza, czy ci z góry zabrali ze sobą spadochrony?

– Nie przypuszczam, ale mam pewność! Nie przypadkiem najpierw utajнили spadochrony, a potem je rozkradli. Ale właśnie z tego powodu czeka ich kompletny klops.

– Dlaczego?

– Miękkie lądowanie. Oni w żaden sposób nie będą mogli przebić nogami dna. No i zostaną na pierwszym dnie – ani w górę, ani w dół. Wymrą z głodu.

– Ale może będzie się im zrzuciła pomoc humanitarna na spadochronach?

– Niech pan mnie nie rozśmiesza! Nikt nie będzie wiedział, gdzie ich poniosło. Sami są wszystkiemu winni. Oderwali się od narodu i uznali, że dno jest ostateczne. A ludowa mądrość głosi, że dna nie ma, są dna.

– I co daje ta mądrość?



– Wszystko! Naród jest pewny, że nic nie kończy się dnem, dlatego że są dna, a nie dno. I całe życie biegnie i trwa od dna do dna. Naród spadając żyje, bo wierzy w dna. Dlatego naród jest nieśmiertelny. A ci na górze nie wierzą w dna i dlatego spadając giną.

– Niech żyją dna! Niech żyją dna! To jednak dziwne słowo. Brzmi jakoś obco.

– Czyżby pan nie słyszał o wszechświatowej wrażliwości duszy rosyjskiej? Rewolucja, inkwizycja, wojna domowa. Mamy wiele wspólnego na przykład z Hiszpaniami.

– A gdzie Franco?

– Dolecimy, to będzie i Franco.

– Jak pan myśli, czy on już leci?

– Leci. Nawet z wyprzedzeniem.

– A co będzie, jeśli leci ze spadochronem?

– Taki głupi to on nie jest. Kiedy będziemy przelatywać przez pierwsze dno, zobaczymy na moment zwierzchność wszelkiej maści. Jedni będą krzyzczeć: „Zatrzymajcie się, mamy już komunizm!”. Drudzy będą krzyzczeć: „Zatrzymajcie się, mamy już całkowitą demokrację!”. A my przelatując obok krzyknemy: „Pozdrowienia od Ciurupy! Niech żyją dna!”.

Niech sobie załatwiają swoje sprawy między sobą. A my przelecimy obok nich i przebijemy nogami dno! Tylko po to warto było lecieć! Zbliżyliśmy się do pierwszego dna. Nogi równoległe! Głęboko oddychać!

– Pozdrowienia od Ciurupy! Niech żyją dna!

Miejmy nadzieję, że przebiliśmy pierwsze dno. Ci z nas, którzy dolecą, dowiedzą się wreszcie, jak ocalić Rosję...

W tym momencie podchodzi do nich jakiś chłopak.

– Chcecie panowie kupić dzieła zebrane Lenina i Stalina?

– Mój Boże, ostatnie relikwie narodowe uciekają! A ile to kosztuje?

– Pięćdziesiąt dolarów dzieła zebrane Lenina i tyle samo Stalina.

– Gdzie je pan ma?

– W samochodzie.

– Wypisz, wymaluj jak dziewczęta z baletu! Ale jakoś dziwnie pan kalkuluje – dzieła zebrane Lenina, to zdaje się pięćdziesiąt tomów. A Stalina – wszystkiego dziesięć tomów. A cena taka sama.

– Kiedy zaczęli zabraniać Stalina? Jeszcze za Chruszczowa! A Lenina faktycznie nigdy nie zabraniano, chociaż i nie wznawiano. Dlatego dzieła zebrane Stalina to rzadkość. Zaczęto je wykupywać jeszcze przy pierwszych zakazach.

– I skąd je pan bierze?

– Kupuję od wnuków i prawnuków starych bolszewików.

– No i jak idą?

– **Nieźle idą.** Kupują głównie kółka marksistowskie i cudzoziemcy.

– Co, znowu kółka marksistowskie?! Ja tego nie zniosę! A na cie nie odbierają dzieł Lenina i Stalina?

– Gwarantuję! Nie odbierają! Jest tajne polecenie rządu, aby popierać wywóz literatury marksistowskiej z Rosji. Szczególnie do Ameryki.

– I co to daje?

– Naiwny człowiek. Oni myślą, że marksistowska literatura przeszkadza reformom. Myślą, że komuniści



opuszczą kraj w ślad za marksistowską literaturą. Tymczasem komunistom potrzebna jest władza, a nie dzieła Lenina i Stalina. Sam jestem demokratą... Widzę, że pan to cudzoziemiec. Polecam dzieła zebrane Stalina. Wszystkiego pięćdziesiąt dolarów.

– Nie, wie pan, ta literatura niezbyt mnie interesuje.

– Do dzieł Stalina dołożę bezpłatnie dwa tomy Lenina z listami do Inessy Armand.

Proszę brać, nie będzie pan żałować!

– Nie, dziękuję, jakoś obejdę się bez listów do Inessy Armand.

– Boże, co ja słyszę! Bezpłatny Lenin jako dodatek do Stalina! Lenin w grobie się przewróci, jeśli, rzecz jasna, to, co leży w grobie, to rzeczywiście on! Zresztą tak właśnie mści się historia. W ostatnich latach życia Lenin był dodatkiem do Stalina. A jeśli kupić dzieła Lenina, to można na dodatek dostać bezpłatnie dwa tomy Stalina?

– Nie. Mamy deficyt Stalina. Jego jeszcze za Chruszczowa zaczęto zabraniać, dlatego prawie wszystko już rozkupili. Rzadkość. No więc kupicie coś panowie czy niepotrzebnie stracimy czas?

– Nie, młody człowieku. Takich książek nie czytamy nigdy i w żadnych okolicznościach.

– No dobrze. Będę się kręcił w pobliżu. Jeśli się namyślicie, dajcie znać.

– Myśmy już i tak wszystko przemyśleli.

Młody człowiek odchodzi.

– Jednakże, jak widzę, prywatnych samochodów jest w Moskwie znacznie więcej. Kiedy byłem tu poprzednim razem, jakoś ich nie było widać...

– Tak, prywatnych samochodów jest więcej... Boże, jaka smutna jest nasza Rosja! Kółka marksistowskie! To mnie dobija, nawet jeśli on kłamal!

– A przy okazji – co pan sądzi o Leninie jako o myślicielu?

– Lenin jest światowym rekordzistą krótkiej myśli. Jeśli pan obejrzy dokumentalny film z jego udziałem, to zobaczy pan, jak Lenin nieustannie gestykuluje. Wszyscy ludzie krótkomyślni starają się przedłużyć myśl za pomocą gestykulacji. Zdaje się im, że wyciągnięta ręka wydłuża myśl. Lenin miał duszę z kamienia, a moneta myśli najlepiej odciska się na miękkiej duszy.

– Ale nie sposób mu odmówić konsekwencji.

– Właśnie konsekwentne szaleństwo jest szaleństwem najprawdziwszym.

– Ciekawe, czy chociaż bywał przesądny?

– Nie przypuszczam. Przesąd to rezultat braku wewnętrznego przekonania swojej racji. Przesądni są na ogół ludzie bardzo prości i bardzo skomplikowani. Przesądny był Puszkina, ale człowiek z hipertrofią wewnętrznego przekonania o swojej racji, pewny siebie, nie bywa przesądny. Lenin nie mógł powiedzieć: „Poniedziałek to trudny dzień. Nie należy zaczynać rewolucji w poniedziałek”.

– Kogo uważa pan za najwybitniejszą postać w historii Rosji?

– Chyba jednak Piotra I. Miał potężną wolę, ogromne plany i naprawdę był człowiekiem pracy na tronie. Ale, jak pisze nasz znakomity historyk Wasilij Kluczewski, Piotr wprawdzie obronił Rosję przed wrogami, ale przy tym tak ją zrujnował, jak by nie dali rady jej zrujnować wszyscy wrogowie razem wzięci. W Rosji nikt nigdy nie liczył się z ofiarami i tak już pozostało.

– Czy wśród obecnych rosyjskich polityków jest jakaś charyzmatyczna postać?

– Charyzmatycznej nie widziałem, ale hara-zmatycznych sporo.



– Jakbym rozmawiał z Sobakiewiczem Gogola.

– Ze wszystkich bohaterów Gogola Sobakiewicz, niestety, miał najwięcej racji. Bo do prawdy – wokół sami rozbójnicy.

– No dobrze. Do czego jeszcze doszli w rezultacie przemyśleń Rozmyślający o Rosji? Tylko krótko i jasno.

– Są jeszcze trzy warianty. Pierwszy: gniew Boży wstrząśnie Rosją, potem zjawi się silny człowiek i powie: „Bracia, nie traćcie nadziei! Wyprostujemy się razem z Rosją! – i zaraz potem głosem gromu – Marsz na swoje miejsca, dranie!”

I dranie poczołgają się na swoje miejsca, a światło nadziei spłynie na Rosję.

– A drugi wariant? Tylko tak samo krótko i jasno.

– Rozmyślających o Rosji nawiedziła wielka planetarna idea, która spowoduje zwrot w rozwoju świata.

– I o co w niej chodzi?

– Jeśli krótko, to chodzi o to, żeby żydowski czas zapłodnił rosyjską przestrzeń.

– Jakby trochę zbyt krótko. Jak to należy rozumieć?

– Okazuje się, że my i Żydzi to dwa narody pokrewne duchowo. I tylko te dwa narody w ciągu wielu stuleci mówiły o swojej szczególnej misji na Ziemi.

I wyszło tak, że Żydzi zagarnęli czas. Oficjalnie to pięć tysięcy lat, ale ile tam jeszcze mają schowanych na czarnej godzinie – tego nikt nie wie. Może nawet z dziesięć tysięcy. Ale zajęci zagarnianiem czasu Żydzi utracili przestrzeń. A my, Rosjanie, zajęci zagarnianiem przestrzeni wypadliśmy z czasu. Największe zadanie dla natury – połączyć żydowski czas z rosyjską przestrzenią.

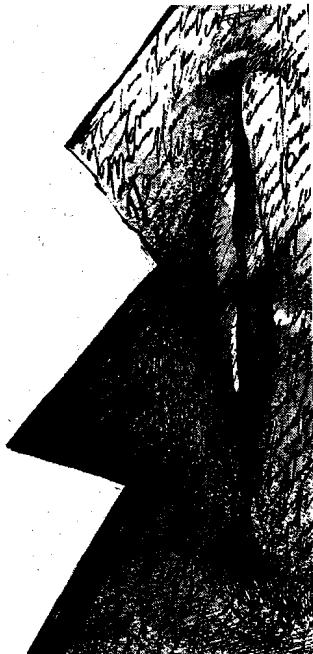
Czym jest państwo Izrael? Czy mu się to podoba czy nie to po prostu nasze rosyjskie laboratorium. Za jakieś dziesięć lat rosyjski będzie drugim oficjalnym językiem państwa Izrael.

– Przypuśćmy. I co to zmienia?

– To sprawia, że między Rosjanami i Żydami powstaje nowe prawo powszechnego światowego ciężenia. A więc w rękach Żydów jest czas. W naszych – przestrzeń. Czym jest czas? Nawiasem mówiąc, amerykańskie odkrycie naukowe: czas to pieniąż. Czas ciąży ku przestrzeni albo też przestrzeń tęskni do czasu. To obojętne. Ale to fakt, chociaż metafizyczny. W rezultacie połączenia czasu z przestrzenią inwestycje, inwestycje, inwestycje posypią się na Rosję, skrupulatnie i równomiernie zapładniając jej przestrzeń.

– Interesująco to u pana wychodzi. Żydowski czas ciąży ku rosyjskiej przestrzeni, a sami Żydzi z Rosji uciekają. I jak należy przypuszczać, zabierając ze sobą swój czas.

– Nie ma tu żadnej sprzeczności! Prawdziwa miłość ujawnia się wyłącznie na odległość. Bieguny czasu i przestrzeni przybierają swoją ostateczną formę i przyciągają się już niepowstrzymanie.



– A jeśli oni nie zechcą zapłodnić pieniędzmi waszej przestrzeni?
– Jak to nie zechcą? To ich zmusimy! A raczej prawa natury ich zmuszą. To nie zależy od osobistej woli Żydów czy Rosjan. Czas szuka swojej przestrzeni, przestrzeń szuka swojego czasu i koniec końców połączą się. Izraelskie laboratorium, samo o tym nie wiedząc, pracuje dla nas. W Izraelu kwitną kibuce. Ale kibuc to przecież nasz dobrze zredagowany kolchoz! I to nie przypadek.

Wypadając z czasu, zablądziliśmy, nie wiedzieliśmy, gdzie, kiedy i jak należało zaczynać. Dlatego nastąpił krach naszych kolchozów. Ale oto dowód na funkcjonowanie światowych praw niezależnych od woli człowieka. Dlaczego, pomimo ogromnych więzi z Ameryką, Żydzi nie mają farmerskich gospodarstw? Tajemna miłość. Ciężenie czasu ku przestrzeni. Niedługo, już niedługo w sensie historycznym w Rosji rozpocznie się zdumiewające życie.

– Założmy, że uwierzyłem w pańską szaloną, chociaż oryginalną teorię. Ale gdzie się podzieją wasi niezliczeni złodzieje? Jeśli panu wierzyć, w Rosji po prostu roi się od nich.

– O, za tym kryje się szczególnie chytrość! Każdy, kto mieszka w Rosji, wie, czuje na własnej skórze, jak dosłownie z każdym dniem kradną u nas coraz więcej i więcej, coraz szybciej i szybciej!

– I co w tym dobrego?

– To rezultat gwałtownego zbliżenia czasu z przestrzenią. Im więcej kradną, tym bardziej nieunikniony jest moment, kiedy nie będzie już czego kraść, i złodzieje przystąpią do samolikwidacji, jak szczury, które po katastrofie okrętu wypłynęły na gołą skałę. Genialne!

– I to wymyślili Rozmyślający o Rosji?

– I to, i wiele innych rzeczy, czego na razie z przyczyn politycznych nie wolno ujawniać.

– A nie wydaje się panu, że w którymś momencie Rozmyślający o Rosji trafią do domu wariatów?

– Nowy stalinizm? Też niewykluczone. Ale czym jest dla historii jakieś pięćdziesiąt czy nawet sto lat? Mgnienie! Nikt i nic nie jest w stanie powstrzymać tysiącletniego przyciągania czasu i przestrzeni. To są planetarne prawa!

– Wiem, że jest pan jednym z Rozmyślających o Rosji. Ale ma pan jakiś cywilny zawód? Gdzie pan pracuje?

– Rosja – to brzmi tak pięknie, że nie chce się pracować. Żartuję. Jestem z zawodu fizykiem, ale nasze laboratorium zamknięto już prawie trzy lata temu: nie ma pieniędzy.

– Teraz to pański czas pracy czy wolny?

– Wolny. Dlatego też znalazłem się w holu tego hotelu.

– A zgodnie z pańską teorią, co robią Rozmyślający o Rosji w czasie wolnym od rozmyślań?

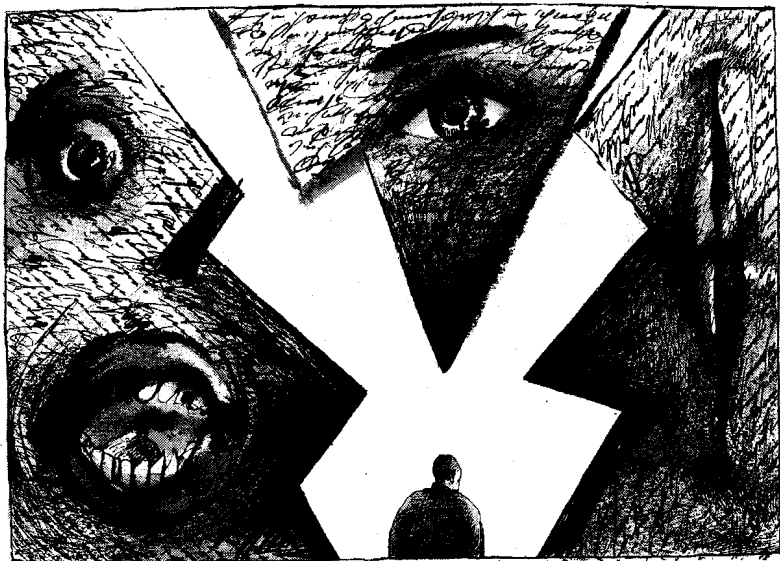
– Mogę to panu wyznać jak dżentelmen dżentelmenowi. Mój przyjaciel malarz powiedział mi: „Zajmij rozmową tego pana, a postaram się sprzedać jego żonie podróbkę starej ikony”. Sądząc z tego, że mój przyjaciel właśnie się oddalił, operacja została pomyślnie zakończona.

– Mary, czy ty coś kupiłaś?

– Tak, mój drogi. Póki ty doskonaliłeś swój rosyjski z tym człowiekiem, nabyłam cudowną ikonę z XVI wieku! Zaledwie dwieście dolarów! Sprzedawca ikony okazał się potomkiem prawosławnych kapłanów z dziada pradiada. Sam cudem ocalał w czasach stalinowskich czystek, chociaż był wtedy bardzo małym dzieckiem. Rozdzierająca serce historia. Potem ci ją opowiem. Sama jest warta nie mniej niż dwieście dolarów.

- Możesz uważać, że już za nią zapłaciłaś.
- Najpierw chciała pięćset dolarów. Ale ja mu powiedziałam, że nie jestem żoną bogatego biznesmena, tylko profesora rusycysty.
- „Ach, rusycysty – zdziwił się przyjemnie – jeśli tak, to co innego! Oddam pani ikonę prawie darmo, za popieranie naszej kultury”. Widzisz jak udatnie doczepiłam tu ciebie. I wszystko to prawda! Ale co za patriotka! Boję się tylko, czy na ciebie nam przepuszczą taki cenny przedmiot. Może poprosić o pomoc naszą ambasadę?
- Gratuluję ci udanego zakupu! Jestem pewien, że pomoc ambasady nie będzie potrzebna... Ale, mój przyjacielu, za pańskie rozważania o Rosji, gdyby zrobić z nich wykład, w Ameryce zarobiłby pan znacznie więcej niż dwieście dolarów.
- Jak dżentelmen dżentelmenowi mogę panu wyznać, że zarobiłem sto dolarów. Mój przyjaciel malarz, żeby przenieść się w wiek XVI, też popracował za sto dolarów. Dla nas, rozmyślających o Rosji, to niemałe pieniądze.
- Przysięgam na moją Mary, podoba mi się pan! Ale czyżby nie nagrał pan swoich fantazji na magnetofon? To za każdym razem improwizacja?
- Oczywiście. Gdybym nagrał na magnetofon swoje rozważania, a potem powtarzał je jak papuga, byłoby to złodziejstwem. Co zaś do mojego wykładu w Ameryce – to wykluczone. Do wykładu trzeba się z góry przygotować, a ja potrafię tylko improwizować. Może pan sam wykorzystać moje rozważania do własnego wykładu, ale proszę się na mnie nie powoływać.
- Dlaczego?
- Dlatego że nie wiadomo, kto będzie u władzy w Rosji, kiedy pan będzie wygłaszał swój wykład.
- Wygląda na to, że i ja zarobię na pańskim wykładzie. Wygląda na to, że i ja podkradam za pańską zgodą.
- Na to wygląda.
- Z pańskiego opowiadania wynikało, że w Rosji podkradają melancholijnie. O panu bym tego nie powiedział.
- U nas kradną dosyć dziarsko, ale przy tym płaczą łzami niewidzialnymi dla świata.
- Zapraszam pana do tego baru na whisky. Rozumie się – na mój rachunek.
- Chętnie przyjmę pańskie zaproszenie. Ale byłoby w najwyższym stopniu dziwne, gdyby zapraszał mnie pan do baru pić na mój rachunek.
- Zdumiewająca historia! Okazuje się, że Rosja ma problemy z lodem.
- To nieporozumienie. Wśród bogactw naturalnych Rosji śnieg i lód zajmują pierwsze miejsce.
- No to niech mnie pan posłucha. To zabawne. Byliśmy z żoną na południu Rosji. Pośleliśmy do restauracji. Zamówiliśmy wódkę, zakąski, wodę mineralną, a ja jeszcze poprosiłem kelnera, żeby przyniósł cytrynę i lód na talerzyku, nie bez powodu przypuszczając, że sam na to nie wpadnie. Kelner popatrzył na mnie jakoś dziwnie i odszedł niepewnym krokiem. Nie było go tak długo, jakby ten lód wydobywał na szczytach górskich. I wreszcie przychodzi i przynosi nam buteleczkę jodyny. „Lodu! Lodu na talerzyku! – krzyczę do niego – nie jodyny! I cytrynę!”
- Kelner był absolutnie wstrząśnięty i pyta: „Po co państwu lód?”. Mówię do niego zirytowany: „My, Amerykanie, jadamy do obiadu lód”. „Ale – mówi kelner – my mamy tylko elektryczny lód, jego nie





wolno jeść”. „Co to znaczy – elektryczny lód?” – pytam. „Z lodówki” – odpowiada zmartwiony.

Wtedy roześmiałem się. „A czy pan myśli, że my przywozimy lód ze Spitsbergenu? My też bierzemy lód z lodówki”.

Wciąż jeszcze był czymś zmartwiony. „A jodynę na razie zostawić czy zabrać?” – pyta. „Jeśli nie przewiduje pan jakiejś bójki – mówię – może pan zabrać”.

Jakby nie do końca przekonany, że bójki nie będzie, zabiera jodynę i odchodzi. Niedługo potem przyniósł talerzyk z jakimś porowatym lodem i przy okazji pieprzniczkę. „Dziękuję – mówię – ale po co pieprzniczka?”.

I wtedy nie wytrzymał. „Ale przecież lód jest bez smaku, wodnisty!” – wybuchnął i urażony oddalił się, jednakże pieprzniczkę zostawił. Powiedziałem wtedy do żony: „To kraina głupców”. Ale teraz z głębokim wstydem odwołuję swoje słowa i przepraszam.

– O głupocie kelnerów mogę panu natychmiast wygłosić wykład, i do tego całkowicie bezinteresownie. Swój biznes zakończyłem.

– Nie, wie pan, już dosyć. Będziemy pić pod jednym warunkiem – milcząc.

– Whisky warte jest tego warunku. Zgoda!

– Mary, idziemy do baru. Przyłącz się do nas.

– Nie, lepiej sobie tu posiedzę i popatrzę na ludzi.

– Jeśli ktoś ci zaproponuje kupno wazy z czasów państwa Urartu, raczej powstrzymaj się od zakupu.

– Dobrze, mój drogi. Sama wiem, że nie może się tak poszczęścić dwa razy z rzędu. Taka głupia to ja nie jestem.

FAZIL ISKANDER